Nr. 17. Lwów, Niedziela dnia 25. Kwietnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr

LUŹNE UWAGI.

XVII.

Czytelnie wiejskie.

Poświęciliśmy kilka artykułów sprawie szerzenia oświaty pomiędzy ludem, i w pogadankach tych napomknęliśmy między innemi, że wielce pożyteczną byłoby rzeczą, zaprowadzenie pism ludowych po karczmach. Dziś pozwalamy sobie wrócić jeszcze do tego przedmiotu, bo uważamy rzecz tę za wielce ważną i godną energicznego, na serjo traktowania.

Toczące się obecnie obrady Sejmu naszego, mianowicie wniosek ks. Stępka, domagający się ustawy przeciw pijaństwu, poruszona w radzie państwa sprawa lichwy dotycząca, nasuwają nam na pamięć odwieczną zasadę: „że jak się nic robić nie zacznie, to się nic nigdy nie zrobi.“ Pijaństwo ludu i przeciążenie się lichwą, dowodzą wyraźnie, że lud ciemny i bardzo ciemny, skoro popada w jedno i w drugie.

Gdybyśmy przed dwudziestą laty, gdybyśmy dopiero od pozyskania swobód konstytucyjnych, byli się energicznie zabrali do szerzenia oświaty pomiędzy ludem, już dziś moglibyśmy się byli cieszyć pomyślnemi rezultatami do tyla przynajmniej, żeby nie było skarg i narzekań na ciemnotę wójtów i na to, że ustawy gminom rozesłane, pruchnieją w stosach po komorach mieszkań wójtowskich, nie czytane, niewyjaśniane i nierozumiane przez nikogo z wieśniaków.

Wszędzie rozbrzmiewa się echem ogólny głos kraju: oświaty dla ludu! A cóż robimy dla tej oświaty? Zasłaniamy się tem, że chłop nie ma zaufania, że jeżeli kto pisma ludowe prenumeruje, to chłop ich nie czyta i t. d. Ależ cierpliwości i wytrwałości. Rok, dwa, trzy lata — praca będzie daremną, lecz w czwartym, dziesiątym roku bezustannych usiłowań, cel osiągniemy.

Przedewszystkiem powinna inteligencja wiejska za najświętszy uważać obowiązek, prenumerowanie pism ludowych tak, aby w każdej wsi co najmniej jeden egzemplarz znajdował się ludowego pisma.

Zachodzi pytanie, gdzie takie pismo i w jaki sposób podawać ludowi? Zdaniem naszem, najlepiej podawać pismo ludowi w karczmie, do której on z nałogu, a często i z potrzeby zagląda.

Niech każdy właściciel ziemski, oddając arendę, postawi za warunek karczmarzowi, aby ludowe pismo prenumerował. W tej mierze arendarz nie będzie stawiał opozycji ze względów finansowych, boć takie pismo 4—5 złr. na rok kosztuje.

Możemy spotkać się z zarzutem, że środek to wcale nie praktyczny, bo arendarz, zwykle izraelita, dla własnego interesu będzie chował pismo i zatajał je przed ludem, albo — że lud wcale na to pismo uwagi swej nie zwróci.

Z góry odpieramy ten zarzut i pozwalamy sobie utrzymywać, że byłby bezzasadnym.

Lud wiedzieć o tem będzie, że pismo powinno się w karczmie znajdować, boć dowie się o tem od oficjalistów dworskich, albo nawet od samego dziedzica. Wiemy z doświadczenia, że lud nader skrzętnie dopominać się umie tego, co za należność swoją uważa, choćby już tylko z zasady samej oddaj, bo to moje, lub dla mnie przeznaczone. Z tąd też sam wieśniak stanie się kontrolorem karczmarza i dopilnuje, żeby pismo znajdowało się w karczmie na stole.

Lud z początku obojętnie, a nawet może i niedowierzająco spoglądać będzie na taką nowość, jaką zobaczy w piśmie ludowem, znajdującem się w karczmie. Jednak po niejakim czasie znajdzie się przecież jaki taki ciekawy, co w nie zaglądnie, przeczyta coś i opowie i drugich zaciekawi. Raz zaś oswoiwszy się z pismem, raz zaglądnąwszy do niego, nader prędko się doń przyzwyczai, czego najlepszym dowodem okoliczność, iż gdzie tylko umiano zręcznie podać pismo lub książkę ludowi, już je czytał, a następnie i własnym prenumerował kosztem.

Przypuśćmy jednak, że na pięćtysięcy gmin w Galicji, znajduje się tylko 15 tysięcy karczem i że na 15 tysięcy egzemplarzy ludowego pisma dla tych karczem zaprenumerowanego, tylko piąta, tylko dziesiąta część, niechby tylko dwudziesta część przyniosła pożytek i żeby z tego posiewu pism ludowych, tylko w 500 karczmach na 15 tysięcy, pismo ludowe się przyjęło, już to byłoby olbrzymią zdobyczą cywilizacyjną, jużby to najświetniejszym było rezultatem tak małej, bo 4 złr. wynoszącej ofiary.

Tych 500 karczem, zamienionych w rodzaj kasyna, rozrzuconych po całym kraju, stałoby się ogniskami cywilizacyjnemi dla sąsiednich okolic. W ideach, w pomysłach, jest coś zaraźliwego, jak w chorobach epidemicznych. Zła czy dobra myśl, śmiałą rzucona dłonią, silnie wciśnięta w tłumy, rozszerza się jak płomień pożarowy, w kilka lat już nie w tych pięciuset karczmach jedynie, ale w kilku tysiącach czytanoby pisma.

Przypuśćmy złe w najgorszym stopniu — przypuśćmy (co nawet nie możebne), że ani w jednej karczmie w całym kraju w pierwszym roku nie przyjęło się pismo, to cierpliwości tylko, a przyjmie się w drugim, lub w trzecim. Pieniądze zaś nie były stracone, owszem kraj zyskał ekonomicznie, bo wydarło się z rąk arendarzy podatek na cele oświaty, bo zmusiło się tych do ofiary na cel publiczny, którzy ofiar nie rozumieją, a nawet do obowiązków obywatelskich przyznawać się nie chcą, eksploatując jedynie na swą korzyść prawa obywatelskie, jakie nowe idee społeczne nadały. Mamy tu na myśli tłum izraelickiego pospólstwa, z jakiego rekrutują się właśnie arendarze.

Wracamy jeszcze do tego, cośmy mówili o nierozumieniu i nieczytaniu wydawanych ustaw.

Niedziwota, że lud ich nie czyta; wszak ich nie może zrozumieć, bo stylizowane po nad jego pojęcia. Pismo ludowe, które na swój sposób ustawy wszystkie ludowi tłumaczy, wyjaśnia, jedynym jest srodkiem na to, jedynem lekarstwem, aby się lud z ustawami zapoznawał.

Daremnemi będą ustawy przeciw pijaństwu, jeżeli się ludowi nie da moralnego gruntu, jeżeli się nie podźwignie ducha jego z tej nędzy umysłowej, w jakiej pozostaje. Przez utrzymywanie

pism po karczmach i tę jeszcze zyskuje się korzyść, że lud powoli przywyknie uważać karczmę nie za miejsce, w którem jedynie upić się można, ale przyzwyczajony uważać ją za ognisko swego towarzyskiego życia, uważać ją będzie za miejsce przyzwoitszej zabawy, odpoczynku i źródło wiadomości, które go bądź co bądź zaciekawią. Jednem słowem karczma polska stanie się powoli „*Gasthausem*,“ jakie w niemieckich wsiach spotykamy, do których lud udaje się po pracy, jak mieszkańcy miast do kasyna, lub restauracji, aby przeczytać gazety i zobaczyć się ze znajomymi, i o bieżących wypadkach pomówić.

Rzucamy myśli nasze z obowiązku dziennikarskiego, a pewni jesteśmy, że głos nasz nie przebrzmi bezowocnie, że znajdziemy uznanie, że każdy właściciel ziemski, do którego te słowa dolecą pomni, iż służyć ojczyźnie jest obowiązkiem każdego; że do tej służby nawołują ci zbrojni a chrobrzy, co legli pod Grunwaldem i Wiedniem, aby zapewnić zwycięstwo sztandarowi Orła i Pogoni. Dziś gdy piersi nadstawić nie można, imajmy się cichej a skutecznej pracy nad posiewem oświaty w miljonach, które kiedyś może staną jak zbita falanga i w górę podniosą połamany sztandar, idąc za przewodem swej rycerskiej braci.

Początek trudny, lecz gdy początku nie zrobimy, nie doczekamy się końca i wiecznie lud będzie ciemny, a my wiecznie będziemy mieli dużo słów i jeszcze więcej dobrych chęci w zapasie.

Do dzieła zatem, a szczerze, a energicznie, a prędko!

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Walenty nic się nie odzywał; znał on dobrze naturę pana majstra i pozwolił mu się wygadać, wyzłościć, i dopiero gdy się nieco uspokoił i wyszumiał odezwał się:

— Ot gadacie, sami nie wiecie co.

— Jakto, nie wiem.

— Ano rozumie się, bo jakże można żądać od człowieka panie, co szkoły skończył, żeby może gotował klej razem z terminatorami, poniewierał się po warstatach lat kilka—to głupie gadanie.

— Walenty! pókim dobry.

— E, to nie gadajcie głupstw, co się jedno drugiego nie trzyma. Kiedy chłopak myśli uczciwie, to mu nie trzeba robić trudności, niech sobie pracuje w imię Boga, czy z patentem, czy za pozwoleniem cechu.

— Ho, ho, to panie nie wszystko jedno. Tu idzie panie tego jak się nazywa o instytucję, o świętą instytucję, którą nam ojcowie nasi w spuściźnie przekazali i tę spuściznę nam panie szanować należy, jak relikwje, a kto się na nie targa, to zdrajca, odszczepieniec. Jeżeli chce zostać rzemieślnikiem, to niech zostanie uczciwym rzemieślnikiem, jak się patrzy, jak tego wymagają nasze ustawy cechowe.

— Tak, i niech czeka cztery lub pięć lat, aż będzie mógł otworzyć warstat i ożenić się. Ładnie mu życzycie i własnemu dziecku także.

— Pięć lat nie potrzebuje, niechby trzy lub dwa. Zresztą ponieważ zna robotę, to możeby się jeszcze co okroić dało. Cech będzie patrzał na to przez palce ze względu, że to człowiek z edukacją; ale poddać się ustawom cechowym musi, to konieczna rzecz; bez tego nie może być porządnym rzemieślnikiem, jak bez chrztu nie można być katolikiem.

— Więc sądzicie panie Tomaszu, że cech by mu darował tych kilka lat?

— Ja myślę, że mu nie będą robić trudności.

— A jak będą?

— Już ja będę w tem. Mam znajomości, wpływy, bo to człowiek panie nie dzisiejszy, i jak wiecie jeden z najstarszych majstrów tu w mieście; dla mnie wiele zrobią. Nie będę żałował fatygi i traktamentu, ułatwię mu wszystko, byle tylko uszanował nasze stare prawa i zwyczaje. Możecie mu to odemnie powiedzieć.

Walenty nie dał sobie dwa razy powtarzać tego polecenia i przy najbliższej sposobności uwiadomił Józefa o tem. Nie mówił mu jednak wszystkiego, nie wspominał mu o zbytniem oburzeniu pana Baryłkiewicza, w jakie go wprawiła wiadomość, że Józef chce zostać majstrem za patentem. Walenty uważał te szczegóły za zbyteczne, powiedział mu tedy tylko ogólnie, że ojciec Tekli chce mu ułatwić zostanie majstrem cechowym i chce się z nim o to rozmówić. Był pewnym że wśród rozmowy nastąpi porozumienie i zgoda i nie wątpił, że Józef chętnie przystanie na propozycję. Walenty bowiem jako stary rzemieślnik żywił także tradycyjne poszanowanie dla cechowych instytucyj i nowe ustawy z roku 1859 wydawały mu się herezją, a chociaż z miłości dla Józefa i przez szacunek dla niego nie potępiał go, że chciał zostać majstrem za patentem, to jednak doświadczał pewnych niepokojów w sumieniu z tego powodu, i nie mógł całkiem usprawiedliwić czynu Józefa, który bądź co bądź był zawsze rodzajem przestępstwa w jego oczach. Nie wątpił więc, że teraz kiedy mu się nadarzała sposobność uniknienia tej ostateczności, nie będzie się wahał korzystać z tego, choćby kosztem pewnych ofiar i ustępstw. Podtrzymywała go w tem mniemaniu gotowość, z jaką Józef przystał na rozmowę z panem Baryłkiewiczem. Nie czekając długo zaraz nazajutrz po widzeniu się z Walentym przyszedł dla bliższego porozumienia się.

Trafił jednak tak, że nie zastał nikogo w domu oprócz Tekli. Dziewczyna nie wiedziała nic o rozmowie ojca z Walentym i o jego zmienionem usposobieniu; Walenty nie miał jako jej tego powiedzieć, a może też umyślnie chciał jej zrobić niespodziankę. Toteż pojawienie się Józefa w ich mieszkaniu przejęło ją radością i przestrachem. Radość objawiła się silnym rumieńcem, który uderzył jej na twarz jak odblask różowych myśli, co płomieniem zapaliły się w niej na jego widok; ale nad temi płomieniami miłości czarne oczy biegały niespokojnie jak przestraszone jaskółki i spoglądały z trwogą ku drzwiom. Józef musiał odgadnąć powód niepokoju i rzekł podając jej rękę na powitanie.

— Przychodzę tu za pozwoleniem ojca twego.

— Ach, to dobrze. — I odetchnęło dziewczę swobodnie, a po chwili dodała na usprawiedliwienie swojej obawy — ty wiesz, jaki mój ojciec gwałtowny i nie chciałabym żebyś się narażał na gniew jego. Czy mówiłeś z nim?

— Jeszcze nie. Walenty tylko powiedział mi w jego imieniu, abym przyszedł rozmówić się z nim.

— O czem?

— O naszej przyszłości, o naszem połączeniu — dodał patrząc jej z miłością w oczy, które spuściła zaraz nieśmiało ku ziemi.

— I myślisz, że ojciec pozwoli? — spytała głosem na pozór spokojnym a jednak w spokoju tym czuć było drżenie radosne serca.

— Zdaje mi się, że nie będzie robił trudności. O ile wiem od Walentego plan mój podobał mu się.

— Jaki plan?

— Czy ci Walenty nie mówił?

— Nie.

— Porzucam szkoły i zostaję rzemieślnikiem.

Tekla wypatrzyła na niego czarne oczy, chwilkę tak stała w osłupieniu i podziwie.

— Czy ci się to nie podoba? — spytał Józef łagodnie i zbliżył się do niej.

— Mnie się wszystko podoba, co ty zrobisz, bo wiem, że robisz dobrze.

— A to, co teraz robię, przyspieszy nasze wspólne dobro.

— Jeżeli tylko dlatego robisz, to ja nie chcę. Nie chcę, żebyś kiedyś miał żal do mnie, że dla mnie skrzywiłeś sobie los. Ja będę czekać, czekać jak najdłużej, nie bój się, ja do nikogo nie będę, nie chcę należeć tylko do ciebie, to sobie ślubowałam przy spowiedzi w kaplicy Matki Boskiej loretańskiej, i dotrzymam święcie. Więc nie potrzebujesz się spieszyć.

— Nie tylko dla ciebie, robię to i dla siebie i dla matki mojej a przytem robię to dla idei. Jest to plan dojrzały i obmyślany, a choć mnie do tego pcha także własna korzyść i względ na osobiste szczęście, to jednak mam i głębsze i szlachetniejsze pobudki, które mnie do tego skłaniają. Przykład mój pociągnie może innych za sobą, a to ważna rzecz dla nas, aby ludzie mający jaką taką naukę brali się do rzemiosł.

Mówili jeszcze długo o tem, a raczej on mówił i rozwijał jej myśl swoją a ona oczami i uwagą zawisła na ustach jego i słuchała go z zajęciem, jakby słów ewangelji. Czasem zatrzymała go jakiem pytaniem, które dowodziło, że rozumnie zastanawiała się nad tem, co mówił i chciała go pojąć dobrze.

Wspólnie układali plany swojej przyszłości, wzajemnego pożycia, a choć nic nie mówili o miłości, jednak z każdego słowa czuć było zapach tej miłości cichej, spokojnej i pogodnej jak wieczór czerwcowy.

Przyjście ojca przerwało tę rozmowę.

Pan Baryłkiewicz uprzejmie przywitał gościa, prosił go siedzieć i zaraz rozpoczął

z nim rozmowę o rzeczy, która ich wspólnie obchodziła.

— Słyszałem — rzekł — od Walentego o postanowieniu twojem. Ucieszyło mnie ono bo widać, że ci szkoły nie zawróciły głowy i umiesz uszanować nasz stan rzemieślniczy. Ale nie pochwalam wcale twego zamiaru starania się o patent. Wolno rządowi robić, co mu się podoba, ale my nie powinniśmy własnemi rękami niszczyć tego, co nam przekazali ojcowie. Nam należy szanować dawne instytucje panie i utrzymywać je. Niech o patenta starają się ludzie, co chcą tanim kosztem i ze szkodą naszą robić pieniądze na rzemiośle, na którem się nie znają; ty tego nie potrzebujesz, znasz rzemiosło i będziesz umiał uczciwie pracować nie jak spekulanci, jak żydzi, ale jak uczciwy majster. A jeżeli ci idzie o to, że to droga długa, to możemy ci pomódz i poradzimy jakoś na to, żeby był wilk syty i owca cała. Myślę, że zgodzisz się na to

— Nie zrozumieliście mnie dobrze, panie Tomaszu — odezwał się Józef skromnie po wysłuchaniu cierpliwem długiej perory pana Baryłkiewicza. — Idzie mi wprawdzie o czas, bo czas to także kapitał, którego człowiek pracy marnować nie powinien; ale to nie jest jedyny powód, który mnie skłania do korzystania z nowej ustawy. Tu idzie o zasadę. Nowa ustawa jest zdobyczą, którąśmy osiągnęli na drodze postępu i wolności, odpowiada ona zupełnie potrzebom naszego czasu i dlatego nie powinniśmy dobrowolnie zrzekać się jej korzyści. Wolność zarobkowania jest wielkim krokiem naprzód i stworzy nam...

— Partaczy i oszustów! — przerwał mu gwałtownie Baryłkiewicz — bo pozwala zajmować się rzemiosłem ludziom, którzy o niem najmniejszego nie mają wyobrażenia.

— Tacy ludzie będą musieli ustąpić w obec konkurencji ludzi fachowych, wyroby ich nie znajdą pokupu. Publiczność tu sama będzie sędzią. A nieudolność tych ludzi nie uwłacza bynajmniej ustawie, która ma na celu właśnie rozwój rzemiosł.

— Toż samo mają cechy, na co tu jakichś nowych wymysłów.

— Tak; cechy miały dawniej to zadanie, dziś nie wystarczają, przestarzały się i nie odpowiadają wymaganiom.

— Dlatego że są starą instytucją, a wam się zachciewa nowości.

— Nie wszystko, co stare jest dobrem, ale niekoniecznie złem jest to, czego nie było. Świat postępuje i instytucje wiec stosownie zmieniać się muszą. Dawniej cechy stanowiły siłę, one wypielęgnowały, wykołysały nam rękodzieła, ale dziś pakować w tę samą kolebkę dorosłych i dojrzałych ludzi byłoby nonsensem. Dziś cechy wstecznością i śmiesznością skompromitowały się i zdyskredytowały. Za granicą, jak np. w Niemczech wstydzą się już ich nazwy i nie chcąc zmieniać ustawy zmieniają nazwy.

— I cóż takiego te cechy wam zawiniły? Czy one nie opiekują się wdowami, nie wspierają podupadłych, nie dbają o czeladź? Czy to jeszcze mało?

— Kasy zaliczkowe, towarzystwa pomocy bratniej zastąpić je w tem mogą.

— Co mi tam kasy, zaliczki, banki, ja nie żyd ani spekulant żaden. Mam cech, ten mi wystarcza i basta, i innym wystarcza także, tylko nie kontentują się nim ci, co chcieliby koniecznie w mądrych mózgownicach coś nowego wymarzyć, co nie umieją słuchać przepisów i starszych.

— A czemu? Bo przepisy te ścieśniają wolność osobistą, naznaczają wysokość płacy, kładą różne tamy i warunki. co wszystko krępuje rozwój rękodzieł. Największą chorobą i grzechem cechów jest brak wolności.

— A wybyście chcieli, żeby wam wolno było robić, co się wam podoba.

— Nie, tylko pracować tak jak się podoba. Niech każdy robi co chce, gdzie chce i jak chce, jeżeli robota jego będzie dobrą, zbędzie ją. To jest zasada nowych ustaw.

— Kłamstwo, nieprawda! Trzeba ograniczenia, przywileju, itd , inaczej nas Niemcy zjedzą w kaszy.

— Nie zjedzą nas, panie Tomaszu — rzekł Józef wesoło z animuszem, kładąc ręce na kolanach jego — nie zjedzą skoro tylko ostro weźmiemy się do pracy i pozbędziemy starych grzeszków a korzystać będziemy z wynalazków i metody jakie nam nowsze czasy przyniosły.

Tu rozpoczął Józef mówić o stowarzyszeniach konsumcyjnych, bankach zaliczkowych spółkach dystrybucyjnych i produkcyjnych, tłumaczył jasno i zrozumiale: użyteczność, konieczność a robił to z wielką oględnością i delikatnością, aby urazić drażliwej ambicji cechowego majstra, a przekonać go o wadliwości urządzeń cechowych i o potrzebie zmienienia ich. Ostrożnie dotykał tej kwestji, bo ile razy zbliżał się do niej, stary stawał ostro w obronie starego porządku i wpadał w gwałtowność. Szczególniej gdy Józef zrobił uwagę, że cechy nietylko drobiazgowemi przepisami krępują rozwój rzemiosł i są raczej towarzystwem dobroczynności dla wdów i podupadłych majstrów niż instytucją kształcącą — ale nadto podziałem rzemieślników na różne stopnie z różnemi przywilejami tworzą zgubne różnice, rozdzielają zamiast łączyć..słowem, że są przestarzałą średniowieczną instytucją, którą usunąć trzeba koniecznie — Baryłkiewicz wybuchnął furją i rzekł:

— Więc i to wam za wiele, że zachowujemy subordynację, chcielibyście znieść posłuszeństwo dla starszych. Do tego to dzisiaj świat dąży, że dzieci nie chcą uszanować woli rodziców, podwładni nie chcą słuchać starszych, — i dlatego nie podobają się wam cechy, że pielęgnują dawne cnoty panie....

— Nie rozumiecie mnie panie Tomaszu — nikt tu nie mówi o nieposłuszeństwie młodszych i starszych, podwładnych do przełożonych — są na to ustawy — i nikt nie myśli.

— Djabla tam nie myśli — buntujecie nam czeladź, zawiązując ją w jakieś stowarzyszenia, terminatorów chcecie zrobić mędrszymi od nas, ciągniecie ich do jakichś szkół przemysłowych, żeby potem nas nie mieli za hetkę pętelkę. Ale nic z tego, dopóki my żyjemy, nie ustąpimy na krok, kto pójdzie do was, pal go licho — niech idzie na złamanie karku; nie dużo takich się znajdzie, a ci co zostaną muszą słuchać cechu i szanować jego przepisy. Terminator musi znać mores przed czeladnikiem, czeladnik musi uszanować majstra.

— Ale majster powinien także uszanować prawa czeladnika i nie uważać go za coś niższego od siebie, powinieneś z nim żyć.

— Jeszcze czego, za pan brat świnia z pastuchem. Niech sobie zapracuje na ten honor, niech zostanie majstrem, to z nim żyć będę.

— Więc przyznajecie mi sami, panie Tomaszu, że cechy dzielą a nie łączą — a tu nam trzeba się łączyć jak najwięcej do wspólnej pracy, inaczej nas Niemcy zjedzą. Zagraniczni fabrykanci gniotą nas wielkiemi kapitałami i wyzyskują — nie dajmy się, panie Tomaszu — naprzeciw kapitałom niemieckim i żydowskim postawmy kapitał pracy opartej na wspólnym kredycie i odpowiedzialności. Będzie to także wojna na polu przemysłowem, wojna przeciw nędzy, co najechała nasze zagony. Im nas będzie więcej, tem zwycięstwo pewniejsze i nie damy się.

— Nie damy się mosterdzieju — zawołał z ferworem pan Tomasz, któremu to porównanie pracy do walki bardzo przypadło do gustu i podrażniło jego polityczną żyłkę. — Nie damy się panie tego — powtórzył — będziemy bić Niemców, pójdę z wami wszędzie, tylko cechom naszym dajcie święty pokój. Niech sobie tam inni robią co chcą i przewracają świat do góry nogami, ty się w takie rzeczy nie mięszaj. Trzymaj się cechu, to ci dobrze będzie. Widzisz, cóż ojciec twój zyskał, że zadzierał z cechami? Biedę klepał całe życie — ot i tyle.

— Właśnie życie ojca przekonało mnie o potrzebie zniesienia cechów. Człowiek tak pracowity, z takiemi zdolnościami nie mógł przyjść do niczego, bo ustawy cechowe wciąż mu przeszkadzały zamiast pomagać. Dla lada błahostki prześladowano go, odejmowano mu sposób do pracy, uważano jak wyrzutka, włóczęgę, i to za co? Za niedopełnienie jakiejś błahej formalności.

— Twój ojciec zawsze wichrzył i buntował się — znanym był z tego w mieście.

— Bo go oburzało postępowanie cechów a znał swoją wartość i wiedział, że na coś innego zasłużył. Konia rasowego pełnego ognia nie daje się do fornalki, aby nawóz woził i żył sianem — a z nim chciano coś podobnego zrobić. I wy chcecie, panie Tomaszu, abym ja za to kochał i szanował wasze ustawy cechowe, abym się im poddał?

— No, inna rzecz ty, inna rzecz twój ojciec — od tego czasu wiele się zmieniło i cechy już nie tak wymagające. Postaramy się, aby ci poszło gładko, ułatwimy wszystko, abyś został po formie rzemieślnikiem, jak się patrzy, jeżeli masz do tego inklinację i nieprzymuszoną wolę.

— Dzękuję wam bardzo, panie Tomaszu za tę życzliwość i pomoc, ale z niej korzystać nie mogę.

— A to dla czego?

— Bo poszedłszy tą drogą poszedłbym wbrew memu przekonaniu i dałbym zły przykład z siebie. A tu idzie właśnie o to, aby do nowej ustawy, która jakkolwiek jeszcze niedostateczna, zawiera jednak wiele dobrego — pociągnąć i ośmielić. Nikt nie chce

*

być pierwszym, obawa nienawiści cechu wstrzymuje każdego — trzeba więc przełamać te zapory, dać przykład i poprowadzić za sobą innych tam, gdzie jedynie widzę dla nas ratunek.

— A jeżeliby ci cech darował lata terminu, wędrówki, gdyby się zadowolił jednym rokiem pracy u jakiego majstra, wreszcie pół rokiem — ot tylko dla dopełnienia formalności?

— Gdyby nawet tylko jednego dnia wymagał odemnie dla zrobienia mnie majstrem cechowym, nie zrobiłbym tego, bo tu idzie o zasadę. Postępowanie takie wyjątkowe ze mną byłoby przywilejem, a nam właśnie idzie o zniesienie przywilejów — o prawo ogólne dla wszystkich.

— I ty myślisz, że ci się to uda?

— Przystępuję z pełną wiarą do tego.

— I wyjdziesz na psy, jak twój ojciec— zawołał gwałtownie pan Barylkiewicz oburzony uporem Józefa.

— Czasy się zmieniły, jak sami powiedzieliście, panie Tomaszu — to co dla ojca mego było zawczesne, dla nas młodszych już dojrzało.

— Józefie, nie rób tego — prosił Tomasz—nie poniewieraj naszemi staremi zwyczajami, uszanuj je, żeby i ciebie szanowano.

— Będę chciał zapracować sobie na wasz szacunek, dacie mi go, skoro zobaczycie dobre owoce moich usiłowań.

— A ja ci mówię słuchaj starszych, bo kiedyś gorzko tego będziesz żałował, wróć się póki czas.

— Czas ten już minął, podałem bowiem już o patent a równocześnie o potwierdzenie statutów stowarzyszenia stolarzy. Skoro to przyjdzie, zaciągamy pożyczkę w banku zaliczkowym, zakupujemy materjał i otwieramy fabrykę może jeszcze na nowy rok. A jak pan Bóg nam pobłogosławi — to wtedy przyjdę i do was po błogosławieństwo ojcowskie dla mnie i dla panny Tekli.

— Nigdy, jakem Barylkiewicz nigdy! — zawołał gwałtownie Tomasz — córka moja nigdy nie będzie żoną partacza, spekulanta. Choćby miała zmarnować się w panieństwie, wolę, niż żeby mnie potem ludzie wytykali palcami w cechu i mówili: ten nas zdradził, sprzeniewierzył się starym zwyczajom, bo wydał córkę za człowieka, co się pierwszy targnął na świętości cechowe.

— A jeżeli wy się przekonacie, jeżeli tamci się przekonają, że niesłuszne żywili uprzedzenie do nowych instytucyj?

— Niedoczekanie twoje. My nie wartogłowy, żeby nam się kiedykolwiek nowości zachciewało, my zostajemy przy swojem. Co uczciwe i porządniejsze to zostanie przy nas a o resztę mniejsza.

— Więc nas odsądzacie od uczciwości panie Tomaszu? — spytał Józef z pobłażliwym uśmiechem. Dlatego, że chcemy pracować bez pozwolenia cechu.

— Że chcecie buntować i wichrzyć. Ale my się nie damy, my pokażemy wam, że cechy żyją.

— Więc będziecie nam przeszkadzać?

— Walczyć z wichrzycielami, aby był porządek.

— Ale ta walka nie powinna zabraniać wam panie Tomaszu zachowania dla mnie dawnej życzliwości i przyjęcia mnie za zięcia.

— Powiedziałem: nie—i basta.

— Teklo — odezwał się Józef zwracając się do Tekli, która w milczeniu brała żywy udział w całej tej długiej rozprawie, a oczy jej mówiły wyraźnie na czyją stronę przechylały się jej przekonania i sympatje — przemów i ty za mną słóweczko; może we dwoje uprosimy go.

— Zabraniam odezwać się przeciw mej woli — ty nie masz tu nic do mówienia. Marsz do swego pokoju.

Wziął ją za rękę i pociągnąwszy dość gwałtownie do alkierzyka, zamknął za nią drzwi. A potem zwróciwszy się do Józefa, rzekł:

— Jeżeliś sam wichrzyciel, to córki mi nie buntuj przeciw woli ojca. Zresztą nie masz tu co więcej robić. Nie ustąpię ani kroku od tego, com powiedział i kwita. Skończyliśmy. Żegnam.

— Powiedz lepiej do widzenia: panie Tomaszu — rzekł łagodnie Józef, — bo przecież zejdziemy się jeszcze i mam nadzieję zmienisz wtedy zdanie o mnie i o tem, co zrobię.

— Szczęśliwa droga — mruknął rozirytowany Tomasz i obrócił się plecami do gościa. Było to dość wyraźne zaproszenie do wyjścia i Józef nie czekał na powtórzenie wyraźniejsze.

Po jego wyjściu Barylkiewicz długo chodził tam i nazad po izbie wzburzony i gniewny, co chwila wyjmował i chował czerwoną chustkę do nosa, poprawiał wąsa, i mruczał pod nosem:

— Widzicie go, młokos, będzie nas rozumu uczył, chce nas naprawiać, jajo mędrsze od kury, a wara, a szanuj starszych.

Tym urywanym monologiem ulżywał rozdrażnionemu sercu, ale widocznie za mało było mu tej ulgi, potrzebował się bardziej wygadać, wyburzyć i wziąwszy czapkę poszedł na miodek do Robackiego, gdzie się spodziewał znaleźć dwóch znajomych i przed nimi puścić cugle oburzeniu swemu. Tymczasem Walenty Kopeć, który widząc Józefa wchodzącego do mieszkania pana Tomasza, umyślnie usunął się z domu pod pozorem odniesienia roboty, aby nie przeszkadzać porozumieniu się, do którego jak sądził, przyjść musi, wrócił teraz i nie zastawszy w warstacie nikogo utwierdził się w swoim domyśle, że sprawa skończyła się dobrze i że pan Barylkiewicz pociągnął Józefa do handelku dla zapicia zgody, jak to miał w zwyczaju. Tak sobie pomyślał Walenty Kopeć i kontent z takiego załatwienia sprawy miał właśnie usiąść do roboty, gdy przez drzwi usłyszał głośne łkanie Tekluni. Stary zcierpnął, jakby go kto poskrobał żelaznym grzebieniem po sercu, wesoła twarz Kopcia zakopciła się rzeczywiście jak szkło lampy źle zgaszonej, i smutnie podszedł pod drzwi alkierzyka. Czas jakiś stał przed drzwiami namyślając się, czy wejść, czy nie wejść. Chciał spytać swojej panienki, co się stało. Ale pytanie takie wydawało mu się zbytecznem, głośny, rzewny płacz był wymowną odpowiedzią. A że Walentemu nie szło o zaspokojenie tylko ciekawości, więc też nie miał powodu pytać o szczegóły, widział tylko, że wszystkiego że się źle skończyło, to było aż nadto dla niego. Zmartwiony i niekontent odszedł na palcach od drzwi, wrócił do warstatu i tam stał długo zamyślony, z podpartą głową. Potem pociągnął spory niuch tabaki, machnął desperacko ręką i mruknął:

— E! głupia robota. Zamęczą mi Teklunię i tyle wszystkiego.

Tabaka musiała być za mocna, bo staremu Walentemu, gdy mówił te słowa zakręciły się łzy w oczach. (C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jeżeli kto w obrazie Florjana Cynka „Miecznik i Marja," który krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk pięknych dało jako premjum swym członkom, dopatrzył się ślicznej Marji, temu powinszować można oczów i fantazji. Gdybyśmy nawet zdolali nakazać wyobraźni, aby Marję Cynka uznała za Marję Malczewskiego, co graniczy z niepodobieństwem, to znów chwila jaką obrał artysta, nie jest oddaną odpowiednio do słów poematu. Bo według ustępu odnośnego, gdy Miecznik czyta list, jest

. . . . w Marji ockniionem wejrzeniu
Nie czcza tylko ciekawość, życie w przesileniu;
Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie lub szturmem obali;
Jej lica płomień zajął, ...

Tych wszystkich oznak nie ma Marja Cynka; na jej płaczliwej, bladej twarzy nie ma ani cienia „wejrzenia ockniionego" o jakiem mówi poeta, nie ma najmniejszego zainteresowania się nawet.

Lepszym jest bez porównania Miecznik, choć w postaci jego jest taka ciężkość i flegma, że przypuścić trudno, aby to był ten sam Miecznik, który z krewkością wypowiada te jędrne słowa:

Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem:
Toć to u naszej szlachty dawne przywileje
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.

Duch natchnionej poezji uleciał z pracowni artysty, gdy tworzył tę ilustrację do Marji; pozostała w niej zaledwie, tak charakterystycznie przez Uhlanda nazwana „Stubenpoesie," która piętno codzienności nadała obrazowi artysty.

Jeżeli ilustracja poprzednia, wykonana co do rysunku i kolorytu poprawnie i troskliwie, nie może zadowolić wymogów krytyki, to obraz olejny przez Sypniewskiego, zatytułowany „List," a przedstawiający tę samą chwilę poematu, co poprzedni, jest po prostu wstrętną parodją Malczewskiego Marji. Dziwić się zaiste należy, że artysta tak mało ceni swe imię i zyskany rozgłos, wystawiając na widok publiczny podobne karykatury.

Tenże artysta wykonał obraz zatytułowany: „Wacław przy zwłokach Marji." Kompozycja obrazu ma w sobie reminiscencje Barbary Simlera. Marja leży w czarnej sukni na łożu, przy niej Wacław z załamanemi rękami. Poza Wacława dobra, ale rysy twarzy tak pospolite i nic nie mówiące, jak rzadko; Marja zaś, tak co do ułożenia postaci, jak co do twarzy — okropna. Artysta zanadto dosłownie wziął wyrażenie poety:

I smutnie się nadęła wysileniem tłusta....

Co wolno czasem poecie, może być zabronionem malarzowi—a artysta zapomniał widocznie o estetyce brzydoty i o prawach artystycznej kompozycji, gdyż inaczej nie byłby przedstawił tak potwornego trupa.

Odpowiedniej przedstawił inny moment tej sceny Szuster w swym obrazie „Wacław przy zwłokach Marji.“ Na łożu osłoniętem kotarą leży Marja; przy łożu przed kotarą stoi Wacław w tył przechylony, jakby skamieniały z przerażenia, z ręką ku głowie wzniesioną. Z tego obrazu mógłby się poprzedni artysta nauczyć, że można oddać śmierć, zlodowacenie trupa i nietylko uniknąć brzydoty i potworności, ale nawet ożywić umarłą twarz, jakąś zagrobową smętnością.

Sp. Leon Kapliński wykonał przed kilkunastu laty obraz przedstawiający Wacława i Miecznika, odpoczywających po bitwie pod drzewem. Sprawozdania równoczesne wyrażały się o tym obrazie bardzo pochlebnie, ponieważ jednak oryginału nie widziałem a z kopji litograficznej dość nieudałej (w Albumie malarzy) sądzić go nie mogę — poprzestaję zatem na tej wzmiance.

Juliusz Kossak odtworzył kozaka pędzącego stepami z listem wojewody, akwarelą, i nie potrzeba zapewniać, że jest to prawdziwy Ukrainiec „na szybkim koniu“ i że „czapkę nasunął i rozpuścił wodze,“ bo artysta jest niezrównanym w odtwarzaniu takich postaci.

Wszyscy poprzedni artyści, wykonali tylko pojedyńcze sceny z Marji; natomiast Walery Eljasz w 12 akwarelach jednakiej wielkości, przysposobił ilustracje do całego poematu.

Akwarele te widziała publiczność w Krakowie i Poznaniu, gdzie artysta osobną z nich urządził wystawę. Pisał o nich w swym „Omnibusie“ J. I. Kraszewski obszernie i z pochwałami. Nie wiążąc się sądem Nestora naszych pisarzy, ocenię ilustracje te tak, jak mi się przedstawiły po dokładnem rozpatrzeniu.

Karta tytułowa jest pierwszą ilustracją a raczej wstępem do nich, bo jest przeważnie symboliczną i zapowiada smutną treść poematu. Jako obraz fantazyjny zajmować nas nie może, gdyż mamy tutaj do czynienia z ilustracjami w ścisłem słowa znaczeniu.

Na drugiej karcie widzimy owego stereotypowego kozaka, w chwili gdy

> Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany
> Bo pod nią już od dawna upiór pochowany)
> Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
> I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.

Artysta chciał tu wyzyskać niewyzyskany dotąd przez ilustratorów moment, aby unaocznić wiarę naszego ludu; ale przez to nie wiele zmienił w kozaku i koniu, który przy koniu Kossaka z podobnej ilustracji wydaje się niezgrabnym, chociaż tylko w piersiach jest trochę przerysowany. Ale stepowej natury w nim nie ma — tej szukać tylko u Kossaka.

Bardzo piękną jest dalsza ilustracja przedstawiająca Wojewodę według słów poety:

> I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
> I gdy mu duszną była wysoka komnata,
> Otworzył wąskie okno — patrzał czas niejaki
> Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki.

Wojewoda widocznie zerwał się z łóżka, niespokojny, bezsenny, a okrywszy się szubą stoi przy oknie groźny, dumny i złowrogi. Wybornie oddaną jest postać tego magnata, nie tylko co do duchowego pojęcia, ale także co do kompozycji i rysunku. Odczuł ją artysta i zrobił mówiącą.

Na następnej ilustracji spotykamy się po raz pierwszy z Marją i Miecznikiem. Przyznam się, że ilustracje różnych artystów, jakie widzieć miałem sposobność, tak mnie przyzwyczaiły do brzydkich Maryj, że z jakimś zadowoleniem szczególnem patrzałem na piękną Marję Walerego Eljasza. Nie jest to piękność posągowa, ale rodzima nasza, z wyrazem inteligencji i dobroci; wdzięk rozlany w całej postaci, a spotęgowany smętkiem i łagodnością rysów, czynią ją jedną z najudatniejszych postaci, stworzonych ręką naszych ilustratorów. Patrząc na nią pojmujemy miłość Wacława: ona każe się kochać. Nie tak pomyślnie wypadł Miecznik; za mało w jego rysach wyrazu, w postaci za mało szlachetności.

(C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Ciąg dalszy.)

Tak i Achmed-effendi, zaledwo dotknął ziemi kolanami, uczuł pod klęcznikiem coś miękiego. Błysnęła mu myśl odrazu, że musiała to uczynić żona troskliwa o wygodę swego małżonka, i już nasuwały się łagodne słowa, któremi miał ją za to strofować.

Ciekawy jednak, czem mógł być podesłany kilim, po skończonej modlitwie sięgnął ręką i wydobył kobiecy czarczaf. Zrazu nie poznał go, lecz gdy począł przypatrywać się lepiej, ujrzał że to ten sam, który darował Fatmie dla kochanki rozpustnego jej syna. Gdyby czarną gadzinę zamiast tego białego płótna wyciągnął, zapewne mniejby się był przeraził.

Wzdrygnął się, jakby za dotknięciem płazu; twarz zaś pobladła jak chusta, którą trzymał w ręku. Nie tak bolałaby go rana zadana zatrutym handżarem lub żądłem skorpjona, ukrytego w kwiatach, jak to nagłe i niespodziane odkrycie.

— Niewierna! — jęknął głucho i utonął w ognistem morzu rozpaczy.

Stał chwilę niby samotny grobowy kamień na pustyni. Roje złych duchów odbywały pląsy w jego mózgu; brzęczało i dzwoniło w uszach a myśli, jedna czarniejsza od drugiej, poiły serce trucizną zazdrości. Dusza gotową była opuścić go. Atoli ozwało się w końcu sumienie prawowiernego człowieka i przypomniał sobie, że wbrew przepisom Alkoranu, zanadto pobłażał kobiecie; przypomniał, że nie za towarzyszkę wypada ją uważać, lecz mieć dla uciech i posługi. Wstydem niby ogniem zapłonęły mu lica. Ale po chwili powaga okryła go znowu jak szkarłatna szuba wezyra i serce zamknęło się dla litości. Odrzucił nareszcie od siebie zdradziecki czarczaf i w milczeniu opuścił komnatę.

Piorun, co kruszy wiekowe dęby, milczy za nim z czarnego łona chmur uderzy w ziemię. Przysłowie powiada: „u głupca serce bywa na języku, ale mądry ukrywa swój język w sercu“.

Wszedłszy do selamliku (recepcyjny pokój), zsunął się na róg sofy, przyjął nargile z rąk czarnej niewolnicy i uroczyście zawołał:

— Hanym niech się tu zaraz stawi!

W oczekiwaniu był spokojny jak wielka Kaaba w świętej Mecce, a tylko bełkot wody i lekki dymek wychodzący z ust dawały oznaki życia naokoło. Twarz jego była nieruchoma jak kamień w murze, a tylko z ócz strzelały błyskawice gniewu nieprzebłaganego.

Na wezwanie pośpieszyła do męża Aisza, lekka niby wietrzyk a nadobna jak kwiatek. A gdy spuściwszy w pokorze wzrok, stanęła przed nim, strzała boleści przeszyła mu serce. Lecz żal był krótki. Po chwili znowu wystąpił surowy wyraz na twarz, a trwoga mimowolna opanowała serce kobiety i zdmuchnęła róże z jej gładkich policzków.

— Słuchaj! — rzekł effendi — wiesz ty o tem, że prawowierny ma prawo pozbawić życia niewierną żonę?

— Zmiłuj się, effendi! — odpowiedziała drżąca hanym — zkąd ci te straszne myśli przyszły do głowy?

— Milcz, bezwstydna! Wiem o wszystkiem, lecz życia twego nie chcę. Opuścisz natychmiast mój dom, i żeby noga twoja nigdy tutaj nie postała! „Hajde syktir“ (idź precz!)

— Aman effendi! — zdołała tylko jęknąć blada z przerażenia Aisza i jak biała lilja podcięta nielitościwą ręką ogrodnika, padła bez zmysłów na ziemię.

Surowy mąż klasnął w dłonie i rzekł do nadbiegłych służebnic:

— Precz mi z tą bezwstydną! wyrzućcie ją natychmiast na ulicę i zamknąć przed nią bramę mego domu. Niech jej nieczysta stopa odtąd nie postanie w moich progach. A wam zabraniam, abyście kiedykolwiek wspominały jej skalane imię!

Rzekł, a posłuszne sługi zaraz wykonały wolę swego pana. Porwały zemdloną na ręce, i stosownie do rozkazu, wyniosły za bramę i porzuciły na ulicy niby trupa zadżumionego.

Leżała opuszczona, a nikt nawet na nią spojrzeć nie śmiał!

Za dawnych czasów, o których święte podanie mówi, kiedy siedmiu braci zasnęło w jaskini i kiedy ludzie zapomnieli o nich — któż ich strzegł wtedy? Oto pies Al-Rakim. Podobnie stało się i teraz.

Zapomniały o dobroci hanym sługi i służebnice, lecz pamiętał o niej pies uliczny, któremu co dnia okruchy ze stołu wyrzucała. Zaledwo bowiem drzwi konaku zamknęły się, podbiegł do leżącej i zaczął się jej pilnie przypatrywać; a gdy poznał, że jest bez życia prawie, lizał ją po twarzy i skomlił, patrząc w okna mieszkań ludzkich, jakby wołał ztamtąd o pomoc.

Wszechmocny nienawidzi ludzi twardego i wyniosłego serca!

To orzeźwiło zemdlałą, i otwarła wkrótce oczy — lecz natychmiast je zamknęła, widząc ku sobie tak wielką obojętność ludzi. Przed jawnogrzesznicą zamknęły się drzwi i serca ludzkie. Piękna twarzyczka leżała na bruku a łzy niby brylantowa rosa spływały po białych jak marmur jagodach. Któż zlituje się nad biedną ofiarą!

Ten, kto ją do tego doprowadził. Stara Fatma bowiem wszystkiemu przypatrywała się zdala, ukryta za studnią, czekając nim życie powróci zemdlonej. Postrzegłszy to, pośpieszyła ku niej i zaczęła rozpytywać się w najczulszych wyrazach, co znaczy to opuszczenie, w jakiem ją znajduje na ulicy.

— Waj! waj! kodża-kari — wołała Aisza — mąż wypędził mnie z domu, posądzając o przeniewierstwo. Wolałabym sroższe męki i poniewierkę znosić, wolałabym, aby mi serce ostrym handżarem przeszył, niż stracić jego miłość! Umrę duszko! umrę z żalu i wstydu!

— Ałłach wielki! — odpowiedziała Fatma — on bierze pokrzywdzonych w opiekę. Źle robisz, że śmierć przywoływujesz do siebie.... przyjdzie ona sama, gdy godzina przeznaczenia wybije. Tymczasem chodź do mnie, a tam pomyślimy, czy nie da się w jaki sposób biedy naprawić.

Ale nie litość wywołała w niej te słowa, lecz dalsze czarne zamiary, które postanowiła do końca przeprowadzić.

Widząc niewinność tak srodze pokrzywdzoną i oszukiwaną, szatan aż pękał ze śmiechu. Wesół i kontent ze swej wspólniczki, zanurzył się pod ziemię, tam nakazał fabrykom piekielnym, by wyprzędły i wytkały dla niej prześliczne czarczafy jedwabne. A gdy ukazał się w podwojach Sidżinu i zwiastował, że nareszcie udało mu się pokłócić i rozwieść Achmeda-effendego z Aiszą, powstał tam taki zgiełk i wrzawa, jak u Adżemów (Persów), gdy swe bałwochwalcze nabożeństwo odprawiają. Trzęsło się piekło z radości, a ludziom zdawało się, że to trzęsienie ziemi.

W tym samym czasie, na ziemi, szła smutna Aisza ze swoją zdradziecką przewodniczką, niby biała owieczka, którą twardy rzeźnik prowadzi na zarżnięcie. A gdy dowlokły się do ubogiego domku i weszły do nędznego mieszkania, tem mocniej ścisnęła się dusza, przywykłej do wygód hanym. Prócz dzbana szczerbatego, wygasłego maugała i starej rogóżki na siedzeniu, w izbie żadnych sprzętów nie było. Tylko głupi, co siedział nieruchomie w kątku, uśmiechał się wesoło, widząc matkę powracającą do domu. Ubóstwo bywa grobem dla żyjących. Wkrótce nadeszła noc. Stara podparła drzwi od ulicy, zatliła kaganek gliniany i ułożyła się do snu w jednym kątku a głupi Jusuf w drugim. Aisza jedna nie kładła się i pomimo namowy Fatmy, siedziała nieruchoma, przerywając ciszę nocną od czasu do czasu głośniejszem łkaniem. Z ulicy dolatywało żałośne wycie psów, noclegujących na sąsiednich śmietnikach, i jęk puszczyków po dachach.

Powoli sen ogarnął wszystkich, tylko nie przychodził do biednej pokrzywdzonej. Coraz czarniejsze myśli dorzucały do smutku jakieś złowieszcze przeczucie, które szarpało niepokojem białe jej łono. Za to głupi Jusuf spał smacznie bo choć głupi, przecież wiedział o tem: „że noc bywa brzemienną porankiem, a Ałłach jeden może wiedzieć, co oświeci ranna zorza.“

Północ nadeszła. Na ulicy dały się słyszeć kroki mierzone patrolu policyjnego, który czuwał nad bezpieczeństwem uśpionego miasta. Cisza głęboka panowała w domu. Zaledwo jednak zrównał się z nim, Fatma nagle się zerwała i poczęła drzeć się w niebogłosy:

— Gwałtu! ratujcie! karakol! (patrol)

Na ten krzyk przebudził się nawet Jusuf i zdziwiony przypatrywał się matce. Zaszczękła broń, kawasi wyparli drzwi i pierwszy wpadł do izby juz-baszi, dowódzca oddziału.

— Kto tu krzyczy? — zawołał surowym głosem.

— To ja, ago! — odparła Fatma. Widzisz tego hultaja? — i tu wskazała na Jusufa i Aiszę — jest to mój niegodziwy syn a to jego ulubiona, którą ośmielił się sprowadzić tutaj na pohańbienie siwych włosów swej matki. Aman! wybaw dom mój od tak wielkiego wstydu, i zabierz ich z sobą do więzienia!

Surowemu słudze padyszacha nie trzeba było ostrzeżenia powtarzać. Pokręcił tylko wąsa, spojrzał na Jusufa i Aiszę i machnąwszy groźnie ręką, aby za nim szli, wrzasnął:

— Hajde! zabrać ich z sobą!

Powlekli twardzi kawasi drżące ofiary podstępu i naigrawali się z nich jeszcze po drodze, aż djabeł dłonie zacierał z radości.

Zaledwo brzask dnia się ukazał i odezwał się pierwszy muezzin, zerwała się na nogi Fatma, nawiązała węzełek z żywnością, okryła się dziurawym czarczafem i pośpieszyła ku więzieniu miejskiemu, gdzie Jusufa z Aiszą zamknięto. Gdy stanęła przed bramą więzienną, a zaspany kawas co stał na straży, zapytał ją — po co przychodzi, nie zająknąwszy się odpowiedziała, że przyniosła strawę dla swego syna wziętego w nocy, który od wczoraj jeszcze okruszyny w ustach nie miał. Kawas zamiast odpowiedzi szeroko ziewnął, otworzył bramę i wpuścił ją na dziedziniec.

Ale nie do więzienia synowskiego poszła chytra kodża-kari, lecz do tego, gdzie była Aisza.

Znękana nieszczęściem, hanym siedziała w kącie, nie wiedząc dobrze czy jest na tym czy na tamtym świecie; gdy więc ujrzała zbliżającą się Fatmę, krzyknęła z przestrachu, jakby miała przed sobą upiora. Stara bynajmniej tem się nie zrażała, lecz szybko do niej przystąpiwszy, uścisnęła na pół żywą i poczęła przepraszać za nocną przygodę dodając, że to było koniecznem aby ją z mężem pogodzić, — wolą bowiem Ałłacha i jego proroka było, przeprowadzić ją przez rozmaite próby, dla użyczenia jej większego doświadczenia w życiu. Nie zrozumiała tego wszystkiego Aisza, lecz dostatecznem było dla niej usłyszeć, że znowu połączy się z mężem, aby rozżarzyć iskrę nadziei w zbolałem jej sercu. Te słodkie słowa oblały szkarłatem jej jagody, a z ócz trysnęły brylantowe promienie radości.

Czas atoli naglił, trzeba było działać. Narada trwała krótko. Fatma zamieniła się czarczafem z Aiszą, następnie zaleciła jej, aby wziąwszy węzełek do ręki, skulona jak stara, wyszła z więzienia, a gdy ją kawas na warcie zapyta, niech powie, że jest matką, co przynosiła strawę dla syna wziętego w nocy. Z więzienia hanym miała się udać do mieszkania starej i tam czekać na nią cierpliwie, pamiętając o tem „że kluczem do szczęścia jest cierpliwość.“

Jak powiedziała rozumna kodża-kari, tak się też stało. Drzemiący szyldwach nie podniósł nawet oczu na skuloną i ciągnącą nogami Aiszę i zaledwo zapytał, otworzył bramę, a sam przysiadłszy się do ziemi, dalej spokojnie drzemał, marząc o tem, jak za dobrą służbę zostanie kiedyś „zabitem“ (oficerem).

— „Jeden Bóg i Mahomet jego prorok!“ — zawołała oswobodzona Aisza i westchnąwszy całemi piersiami, podążyła prędko ku domowi starej Fatmy.

Tymczasem zrobił się dzień. Do „seraju“ (urzędu) śpieszyli ludzie, każdy za swym interesem. Zebrali się wszyscy bejowie i effendowie w „medżlisie“ (radzie), a sam basza-gubernator zajął prezydjalne miejsce, by stało się zadość prawu i sprawiedliwości.

Nisko kłaniali się ludzie przed wysokim dostojnikiem i przedkładali prośby, aż przyszła kolej na uwięzionych tej nocy. Basza, dobry muzułmanin był niezmiernie surowy na rozpustę skoro więc ujrzał śmiejącego się Jusufa, wpadł odrazu w gniew nie do opisani. Nazwał go psem nieczystym i zaklął się na brodę pradziadka, że srodze go ukarze — za zhańbienie domu rodzicielskiego i bezwstyd, z jakim stawił się przed urzędem padyszacha. Nie uważał na to głupi Jusuf, lecz śmiał się dalej.

— A gdzie jest kobieta, którą wzięto z tym bezwstydnikiem? — wrzasnął gniewny basza.

Strach wielki przeszedł po wszystkich, a kawasi popchnęli Fatmę naprzód; jeden tuż stanął koło niej, aby spełnić rozkazy zagniewanego zwierzchnika.

— Aman! baszo-effendi — pisnęła przeraźliwie padając jak długa do stóp jego; — skłamał! skłamał bezczelnie! kto ci to powiedział, że jestem kochanką mego syna?

— Maszałła! co mi tu prawisz psia córko? Zapewne bezwstyd dodaje ci tyle zuchwalstwa, że ośmielasz się nazywać kochanka swoim synem? Pamiętaj! że dwa razy ten zawinił, k o skłamał w urzędzie padyszacha.

— „Niech padyszachowi zdrowie służy*).“ Ja kłamać nie umiem, a tem mniej jestem bezwstydną lub zuchwałą; winien temu wszystkiemu twój juz-baszi, który rozpił się do tego stopnia, że wpada po nocach do domów prawowiernych i chwyta zamiast kochanek matki z ich synami. Zdarzyło się to samo i tej nocy. Napadł on mój domek ubogi i porwał razem z moim synem, sądząc, że jestem kochanką. Waj! waj! widać przyszedł koniec świata, kiedy prawowierni tak się oddali przeklętemu trunkowi!

— Bóg zapłać! po raz pierwszy taką w życiu spotykam — oto mi bezwstydna! — wycedził przez zęby basza i kazał zawołać przed siebie juz-baszego.

Pokłonił się nisko juz-baszi a odpowiadając na zapytanie, oświadczył, że zabrał do więzienia Jusufa nie z matką lecz z jego kochanką.

— Oj! kłamiesz, kłamiesz jak pies, juz-baszi! Z duszą widać razem przepiłeś i oczy swoje. Patrz! — i tu ku zgorszeniu powszechnemu zdarła sobie z twarzy „jaszmak“ (zasłonę).

Juz-baszi aż oniemiał ze zdziwienia.

— Wstyd! wstyd! — zawołali obecni — wałła! wszak to istotnie kodża-kari Fatma a to jej syn, głupi Jusuf? — i izba posiedzeń aż się zatrzęsła od śmiechu.

Basza jeden tylko nie śmiał się, lecz poczerwieniał jak fez. Po chwili, gdy wszystko ucichło, zwrócił się do juz-baszego, a utkwiwszy w nim oczy jak dwie strzały, krzyknął do oniemiałego ze strachu.

— Aman! juz-baszi, psi synu, obmierzły pijaku! Hajde syktir! zamknąć go do kozy zamiast tych ludzi i nie dawać nic prócz chleba i wody, aby przypomniał sobie zakon proroka!

Na gniew tak wielki i widoczne dopuszczenie losu, nie śmiał pisnąć struchlały policjant; pokłonił się tylko niziutko i poszedł odsiadywać kozę. A gdy go już nie było, uspokoił się basza, i łagodnie odezwał się do Fatmy:

— Bóg mi świadkiem! kodża-kari, wybacz mi duszko-jagniątko, nicem nie winien twojej krzywdzie; ukarałem winnego, niech więc twój honor uspokoi się. Zabierz syna z sobą i niech ci Bóg posyła wszystko najlepsze.

---

*) Padiszach sah olsun! — wyrażenie używane przez lud w przemówieniach do urzędu.

— Pokłon sprawiedliwemu sędziemu! niech ci Allach przedłuża twoje dni, sułtanie, a po śmierci abyś używał roskoszy rajskich, obiecanych prawowiernym przez Proroka! — I nie czekając dłużej, wyszła z medżlisu tryumfująca Fatma z głupim synem. (C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Oprócz barw powstających przez pochłanianie i interferencję światła, istnieją jeszcze barwy innego pochodzenia. Wspomnimy tu jeszcze tylko o barwach fluorescencyjnych, które obecnie ściągają na siebie bliższą uwagę uczonych. — Widmo słoneczne nie kończy się na barwach fijoletowych, rozciąga się ono znacznie jeszcze dalej. A jakkolwiek tych promieni pozafijoletowych oko zachwycić nie może, jakkolwiek nie objawiają się jako światło, jako barwa (lub dają się słabo dostrzedz przy zasłonięciu innych barw), to jednak zdradzają swą obecność żywem działaniem chemicznem, — one to najbardziej chwytają obraz na przygotowanej tafelce w skrzyni fotografa. Otóż, jak przy pochłanianiu światła, zostaje ono przeprowadzonem w ciepło i przechodzi w drgania wolniejsze, tak też można pojąć, że owe najszybsze drgania promieni pozafijoletowych czyli chemicznych mogą przez pewne ciała być zamieniane na drgania wolniejsze, a tem samem dadzą się ująć przez oko, staną się widzialnemi. Zjawisko to nazywa się fluorescencją, ciała, które je okazują, fluoryzującemi. Ciał takich jest bardzo wiele, a barwy przez nie wydawane w ogóle są bardzo piękne. Tak n. p. szkło uranowe, które przepuszcza słabo światło żółte, gdy na nie pada światło dzienne, połyskuje wspaniałą zielenią; znalazło też już zastosowanie do niektórych ozdób.

Skoro teraz znany sposób powstawania barw, skoro wiemy, iż do oka dostają się w postaci rozmaitych drgań eteru, nasuwa się pytanie, czy na wszystkie oczy wywierają one jednakie wrażenie. Na pytanie to z całą pewnością odpowiedzieć nie można, prawdopobnem jest wszakże, że poczucie różnych barw przez ludzi posiadających zdrowe oczy jest jednakiem; jeżeli jednak z trojakich włókienek nerwowych, których podrażnienie wywołuje uczucie właściwej barwy, włókna jednej kategorji są nieczułe, oko już wszystkich barw zajmować nie może, powstaje ślepota barwna.

Ślepota barwna jest wadą oka, która mu czyni niemożliwem uczuwanie barw; wiadomem to już było w zeszłym wieku, a może i dawniej, że są ludzie którzy nie mogą wszystkich barw między sobą rozróżniać. Tak n. p. krawiec jeden w Londynie nasztukował czarną jedwabną suknię materją czerwoną, którą uważał za czarną: był on ślepym na barwę czerwoną. Opierając się na teorji Younga, powiedzieć możemy, że u niego były nieczułemi te włókna siatkówki, które są przeznaczone dla barwy czerwonej, albo może zgoła nie istniały. W podobny sposób mogą być nieczułe włókna zielone lub fijoletowe, tak że istnieją też ślepi na barwę zieloną i fijoletową. Ślepota czerwona jest najpospolitsza, fijoletowa najrzadsza. Ślepota czerwona, a często i ślepota barwna w ogólności, zowie się daltonizmem, od słynnego chemika Daltona, który cierpiał na tę wadę oka i pierwszy ją bliżej badał; naturaliści jednak angielscy słusznie protestują przeciw takowemu uwiecznianiu nazwiska Daltona, który ma inne prawa do nieśmiertelności w nauce, niż swą wadę oka.

Ślepota barwna najczęściej napotyka się w Anglji gdzie podobno na ośmnaście osób, przypada jedna ślepotą barwną dotknięta; oczy takie są pospolicie niebieskie. Zjawisko to chorobne u nas zdaje się być dosyć rzadkiem, — przynajmniej nie posiadamy ściślejszych w tym przedmiocie dochodzeń. Zresztą badania te są dosyć mozolne, bo ludzie nie rozróżniający barw sami o tem najczęściej nie wiedzą, zwłaszcza że nazwy słyszane od ludzi posiadających oczy normalne, stosują do lekkich odcieni w natężeniu światła, jakie różne barwy przedstawiają, nie domyślając się wcale, że inni ludzie widzą tam zupełnie co innego. Anglik Harris, dotknięty tę wadą oka, nie mógł zrozumieć, dla czego ludzie mówią o czerwonych pończochach, gdy przecież sama nazwa pończochy dobrze rzecz maluje; Harris rozróżniał kształty należycie, a przymiotniki odnoszące się do barw tak go drażniły, że nakoniec poznał wadę swoję i swoich dwu braci. Göthe niebezzasadnie mówi, że rozmowa ze ślepym na barwy jest tak zawiła i oszałamiająca, że można się przy niej obawiać, aby nie stracić rozumu.

Że ślepota barwna jest w Anglji pospolitszą, niż na lądzie stałym, wypada to już z tego, że mamy o niej mnóstwo z tego kraju historyjek. Niejaki Szott n. p. gniewał się, że przyszły zięć jego w dzień ślubu przywdział szatę żałobną, gdy ten rzeczywiście nosił czerwony płaszcz prawniczy. Oficer jakiś wybrał zielone sukno zamiast czerwonego i przyjechał na przegląd swego pułku czerwonego w niewidzianym jeszcze mundurze zielonym. Malarz jakiś poznał swą wadę oka i pozostawiał odtąd żonie wybór farb, — Matejką nie był on zapewne. Pospolitość tej choroby w Anglji wywołała uwagę, czyby nie należało dochodzić, czy strażnicy pilnujący sygnału na kolejach żelaznych i w portach, należycie rozróżniają barwy. Ale że przy rozmaitem oświetlaniu i zdrowe oczy także mają trudność w rozpoznawaniu barw, dla tego też obecnie rozmaite sygnały nie różnią się tak barwą, jak raczej kształtem i liczbą oraz rodzajem ruchów, jakie się im nadają.

Ślepota barwna jest często dziedziczną i dotyka zwykle wielu członków jednej rodziny; płeć piękna ma jej mniej ulegać, niż mężczyzni. Zdarza się zresztą, że napada ona oczy w wieku późniejszym; tak opowiada Tyndall, że kapitan jeden okrętowy, który starał się odpędzić nudy żeglugi morskiej haftowaniem różnokolorową przędzą i zajęcie to prowadził raz długo o zmroku, stracił poczucie wszystkich barw oprócz błękitnej, — wszystkie inne wydawały mu się jednostajnie brunatnemi.

Zjawiska ślepoty barwnej są w ogóle dosyć zawiłe, dają się jednak wytłumaczyć za pomocą teorji Younga. Ślepy na barwę czerwoną ma włókna odpowiadające barwie czerwonej nieczułe; widzi przeto barwę nasyconą czerwoną czarno.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

ROZDZIAŁ VII.

(Ciąg dalszy).

(Naba jeszcze nie ma! — Domysły korespondenta. — Wieczerza. — Złowroga noc. — Straszliwa burza. — Wyprawa nocna. — Walka z wichrem i deszczem. — Ośm mil od pierwszego siedliska.)

Gedeon Spilett stał właśnie nad brzegiem morza, nieruchomy, z rękami w tył założonemi i patrzał na ocean, z którego na widnokręgu wynurzała się olbrzymia czarna chmura i wznosiła się szybko ku zenitowi. Wiatr był już dość gwałtowny, a ku wieczorowi stawał się coraz chłodniejszym. Niebo źle wróżyło, a pierwsze objawy orkanu były widoczne.

Harbert wszedł do „dymników,“ a Pencroff zwrócił się ku miejscu, gdzie stał korespondent. Ale ten, zatopiony w myślach, nie spostrzegł wcale zbliżającego się marynarza.

— Będziemy mieli fatalną noc, panie Spilett! — odezwał się marynarz. — Wicher i deszcz, że aż roskosz będą miały *petrele* *).

W ten sposób zagadnięty, odwrócił się korespondent i ujrzawszy Pencroffa, pierwsze słowa jakie rzekł do niego, były:

— W jakiej odległości od brzegu, zdaniem pańskiem, otrzymała nasza łódka owo uderzenie bałwanu morskiego, które pozbawiło nas towarzysza?

Marynarz nie spodziewał się wcale podobnego zapytania. Pomyślawszy chwilkę, odparł:

— W odległości 240 sążni t. j. 1200 stóp co najwięcej.

— A zatem Cyrus Smith wpadł do morza co najwyżej 1200 stóp od brzegu?

— Mniej więcej — odparł Pencroff.

— A jego pies także?

— Także.

— Co mnie dziwi i zastanawia — rzekł Spilett — to, że przypuściwszy śmierć inżyniera a z nim razem i psa, morze nie wyrzuciło dotychczas zwłok ani psa ani pana!

— Nie ma w tem nic dziwnego przy tak wzburzonem morzu — odparł marynarz. — Zresztą prąd wody mógł ich unieść i wyrzucić gdzieś dalej.

— Więc pan sądzisz, że towarzysz nasz zginął w toni morskiej? — spytał raz jeszcze korespondent.

— Takie jest moje zdanie.

— A moje zdanie — rzekł Gedeon Spilett — przy całym szacunku jaki mam dla pańskiego doświadczenia, panie Pencroff, jest, że to kompletne zniknięcie razem Cyrusa i Topa, czy żywych czy nieżywych, mieści w sobie zagadkę i nieprawdopodobieństwo.

— Chciałbym być pańskiego zdania, panie Spilett — odrzekł marynarz. — Niestety, mam inne przekonanie.

Po tych słowach marynarz powrócił do „dymników.“ Na ognisku zapłonął wesoły ogień. Harbert dorzucił wiązkę suchego drzewa i jasny płomień roztoczył blask po ciemnych zakątkach korytarzy.

*) Ptactwo morskie, które najchętniej lata wśród największej burzy. (Przyp. autora.)

Pencroff wziął się natychmiast do gotowania wieczerzy. Uznał za stosowne umieścić w jadłospisie tego wieczora, jedno z dań posilniejszych, wszyscy bowiem potrzebowali pokrzepić siły. Kolekcję „kurukusów“ zachował na dzień następny, na teraz oskubał z pierza dwa „tetrasy“ i nadziawszy takowe na rożen zaimprowizowany z kawałka patyka, piekł je wolno na ogniu.

Była już godzina siódma z wieczora, a Naba jeszcze nie było. Pencroff począł się niepokoić. Obawiał się, że albo spotkał go jaki przypadek na nieznanej ziemi, albo że nieszczęśliwy dopuścił się jakiego rozpaczliwego kroku. Harbert jednak z tego opóźnienia się Naba zupełnie inne wyciągał wnioski. Zdaniem jego, jeżeli Nab dotychczas nie wrócił, to dla tego, że musiała zajść jakaś nowa okoliczność, która go skłoniła do dłuższych i dalszych poszukiwań. A ta nowa okoliczność nie mogła jak tylko być korzystną dla Cyrusa Smitha. Dlaczegożby innego Nab nie powrócił, jeżeli nie dla tego, że go zatrzymała jakaś niespodziana nadzieja? Może trafił na jaki znak i na jaki ślad stopy ludzkiej, może znalazł resztki jakich przedmiotów wyrzuconych przez morze, które mu dalszą wskazały drogę? Może w tej chwili jest już na pewnym tropie? A może, może nawet przy swoim panu?...

Tak rozumował chłopak i tak mówił. Nikt mu w tem nie przeszkadzał. Korespondent sam potakiwał mu. Co do Pencroffa, ten był przekonany, że Nab tego dnia dalej jeszcze niż poprzedniego zapędził się w swych poszukiwaniach i dla tego nie mógł do tego czasu powrócić.

Harbert tymczasem, rozgorączkowany jakimś wewnętrznem przeczuciem, kilkakrotnie wyraził zamiar, że radby wyjść na spotkanie Naba. Pencroff jednak wytłumaczył mu, że byłaby to wycieczka całkiem bezowocna, że w tej ciemności i ulewie nie mógłby trafić na ślad Naba i że lepiej czekać do jutra. Gdyby Nab nazajutrz nie powrócił, wówczas on sam nie wahałby się ani chwili razem z Harbertem puścić się na jego odszukanie.

Gedeon Spilett podzielał w tej mierze zdanie marynarza, że nie należy się ze sobą rozłączać, i Harbert musiał odstąpić od swego zamiaru, lecz dwie łzy duże jak groch spłynęły mu po policzkach.

Korespondent nie mógł się powstrzymać, ażeby nie uściskać tego szlachetnego dziecka.

Tymczasem wszczęła się burza na dobre. Wicher południowo-wschodni z nieporównaną wściekłością dął od strony morza i hulał po ziemi. Słychać było, jak morze, odpływające właśnie, z szalonym rykiem uderzało o pierwszą granicę skał sterczących wzdłuż wybrzeża. Deszcz roztarty przez orkan na drobniutkie cząsteczki rozrzucił się niby mgła wilgotna; rzekłbyś, że to mgliste wyziewy wlokły się dużemi szmatami po ziemi; strumyki nadbrzeżne hurkotały z przerażającym łoskotem, jak gdyby fury kamieni wysypywano na bruk. Piasek miotany wichrem mięszał się z ulewą i siekł jakby rózgą po twarzy; tyle było w powietrzu pyłu mineralnego, ile pyłu wodnistego. Pomiędzy ujściem rzeki a rogiem skalistej ściany wściekły wir powietrzy rozpoczął szalony taniec, a wiatry odrywające się z tego *na lstromu*, nie znajdując innego przesmyku, prócz wąskiej doliny, którą pędził potok z całą gwałtownością parły tamtędy. Dym ulatujący z ogniska wąską kiszką, odparty wichrem opadał napowrót, napełniał korytarze i czynił w nich pobyt nieznośnym.

Dla tego to Pencroff, gdy „tetrasy“ były upieczone, przygasił ogień, przechowując tylko nieco żaru pod popiołem.

Godzina ósma, a Nab jeszcze nie wracał. Można było jednak teraz przypuszczać, że to burza wstrzymywała go od powrotu, że schroniwszy się w jakiej jaskini, czekał aż nawałnica przeminie lub przynajmniej dzień zaświta. Wybrać się zaś naprzeciwko niego i odszukać go, było w tym stanie rzeczy istnem niepodobieństwem.

„Tetrasy“ stanowiły na dziś całą wieczerzę rozbitków. Mięso ich było wyborne. Pencroff i Harbert, których apetyt zaostrzyła dłuższa wycieczka, pożerali je w całem tego słowa znaczeniu.

Poczem każdy wcisnął się w kąt, w którym przepędził noc poprzedzającą. Harbert usnął koło marynarza, który rozciągnął się jak długi przy ognisku.

Na dworze, czem dalej w noc, tem straszliwsze przybierała burza rozmiary. Był to orkan podobny temu, jaki z murów Richmondu zapędził więźniów na tę ziemię Cichego Oceanu. Zresztą była to jedna z tych burz tak częstych w tamtejszych stronach w porze zrównania dnia z nocą, obfitych w nieszczęsne katastrofy, a tem straszliwszych na przestrzeniach, nie stawiających im żadnej zapory! Łatwo zatem wyobrazić sobie, lecz niepodobna opisać, z jaką wściekłością, z jakim szalonym impetem uderzał rozkiełzany orkan w ten kawałek lądu nie zasłoniony niczem od wschodu, a zatem wystawiony wprost na jego działanie!

Na szczęście budowa skał tworzących „dymniki“ była dość silną. Były to olbrzymie bryły granitowe, a jednak niektóre z nich, snać nie dość trwale usadowione, zdawały się chwiać w swych podstawach. Pencroff sparty ręką na skale, uczuwał to nagłe drżenie. Lecz powtarzał sam sobie, i słusznie, że nie ma się czego lękać, że ich improwizowane mieszkanie nie zawali się nad nimi. Od czasu do czasu słyszał jednak jak duże bryły kamienne, oderwane wichrem ze szczytu ściany skalnej, z grzmiącym łoskotem spadały na brzeg morski. Niektóre z nich staczały się nawet po sklepieniach „dymników“ lub spadając pionowo roztrzaskiwały się na nich w kawałki. Po dwakroć wstawał marynarz i na klęczkach czołgał się do wchodu „dymników,“ ażeby zobaczyć co się dzieje na dworze, lecz przekonawszy się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, powracał znowu i kładł się przy ognisku, na którem syczał tlejący pod popiołem żar.

Pomimo wycia orkanu i grzmotów nawałnicy, Harbert spał twardo. W końcu owładnął sen i Pencroffa, który jako marynarz, przyzwyczajony był do tego rodzaju łoskotu. Tylko Gedeon Spilett sam jeden czuwał. Jakiś niepokój wewnętrzny spłaszał mu sen z powiek. Czynił sam sobie wyrzuty, że nie towarzyszył Nabowi w tej wyprawie. Widocznie nie stracił jeszcze wszelkiej nadziei. Te same przeczucia, co Harbertem, miotały i nim bez ustanku. Wszystkie jego myśli skoncentrowały się w Nabie. Dla czego Nab nie powrócił? Tysiąc razy zadawał sobie to pytanie. Przewracał się niespokojnie po swem posłaniu piaszczystem, zaledwie zwracając uwagę na walkę żywiołów. Od czasu do czasu powieki jego ociężałe ze znużenia, przymykały się na chwilę, lecz natychmiast myśl jakaś, nagła jak błyskawica, rozwierała je napowrót.

Około godziny drugiej z północy Pencroff, który tymczasem zasnął był twardo, uczuł, że ktoś silnie szarpnął go za ramię.

— Co to? — zawołał budząc się, i zebrał od razu zmysły z przytomnością właściwą marynarzom.

Ujrzał pochylonego nad sobą korespondenta, który rzekł:

— Słuchaj, Pencroff, słuchaj!

Marynarz wytężył słuch, lecz prócz wycia wichru nie słyszał nic więcej.

— To wicher — rzekł.

— Ależ nie — odparł Gedeon Spilett, wsłuchując się znowu — mnie się zdawało, że to...

— Co takiego?

— Że to szczekanie psa!

— Szczekanie psa! — zawołał Pencroff, zrywając się na równe nogi.

— Tak jest... szczekanie.

— To nie może być! — odparł marynarz. — A zresztą jakim sposobem wśród ryku nawałnicy...

— Pst.... słuchaj pan.... — rzekł korespondent.

Pencroff wsłuchał się uważniej, i w istocie w chwili, gdy burza nieco przycichła, zdawało mu się, że usłyszał dalekie szczekanie.

— A co? — rzekł korespondent, ściskając nerwowo za rękę marynarza.

— Prawda... w istocie!... — odparł Pencroff.

— To Top! to Top!... — zawołał Harbert, który tymczasem przebudził się był, i wszyscy trzej rzucili się ku wychodowi.

Z największą trudnością potrafili dostać się na dwór, wiatr bowiem odpychał ich wstecz, a gdy wyszli, musieli oprzeć się o skałę, ażeby nie upaść. Patrzyli do koła, lecz żaden nie mógł przemówić.

Gruba ciemność spowiła razem morze, niebo i ziemię, ciemność nieprzenikniona. Zdawało się, że w całej atmosferze nie było jednego atomu światła.

Przez kilka minut korespondent i towarzysze jego stali na miejscu targani wichrem, przemoczeni deszczem, oślepieni piaskiem. W tem, podczas chwilowej ciszy, usłyszeli powtórnie owo szczekanie z dość znacznej, jak się im zdawało, odległości.

To Top, z pewnością żaden pies inny, tylko Top. Lecz sam, czy też z kim jeszcze? Prawdopodobnie sam, bo gdyby Nab był z nim, jużby był przybiegł do „dymników.“

Marynarz nie mogąc przemówić, ścisnął korespondenta za rękę, jak gdyby chciał powiedzieć: „zaczekaj!“ i wbiegł do „dymników.“

Po chwili wrócił z pękiem chrustu zapalonego, rzucił go w ciemności i silnie zagwizdał.

Na ten znak dało się słyszeć bliżej szczekanie i po chwili pies jakiś wbiegł pędem do „dymników.“ Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli za nim.

Pęk suchego drzewa rzucony na węgle, oświecił wnet jasnym płomieniem kurytarz.

— To Top! — zawołał Harbert.

W istocie był to Top, wspaniały pies krwi anglo-normańskiej, który po obu tych skrzyżowanych ze sobą rasach odziedziczył nadzwyczajną chyżość nóg i delikatność węchu.

Był to pies inżyniera Cyrusa Smitha.

Lecz był on sam jeden! Ani pan jego ani Nab nie towarzyszyli mu!

Jakimże sposobem mógł go instynkt zaprowadzić do „dymników,“ których nie znał i w których nigdy nie był? Była to rzecz niepojęta, szczególnie w noc tak ciemną i wśród tak strasznej burzy! Lecz co dziwniejsza jeszcze, Top nie był wcale zmęczony, i nie był nawet powalany mułem ani piaskiem!...

Harbert chwycił jego głowę w obie ręce, pies dał się pieścić i tarł kark o dłonie Harberta.

— Skoro się pies znalazł, znajdzie się teraz i pan! — rzekł korespondent.

— Dałby to Bóg! — odparł Harbert. — Spieszmy! Top będzie naszym przewodnikiem.

Pencroff nie sprzeciwiał się temu. Czuł on, że przybycie Topa zachwiało jego przypuszczenia.

— W drogę zatem! — zawołał.

Pencroff ponakrywał troskliwie węgle na ognisku. Kilka kawałków drzewa położył pod popiół, by za powrotem zastać ogień gotowy. Poczem zabrawszy ze sobą resztki wieczerzy, wyruszył w drogę wraz z korespondentem i Harbertem. Przed nimi biegł Top, który poszczekując z lekka, zdawał się ich wzywać, ażeby szli za nim.

Burza zdawała się właśnie dochodzić do szczytu wściekłości. Było to na nowiu, księżyc zatem nie przepuszczał ani jednego promyka przez chmury. Trudno było trzymać się prostego kierunku, najlepiej zatem było spuścić się zupełnie na instynkt Topa, na co też zgodzili się nasi podróżni. Korespondent z Harbertem postępowali zaraz za psem, marynarz zamykał pochód. Nie podobna było słowa przemówić. Deszcz nie padał wprawdzie zbyt rzęsisty, gdyż wiatr go rozpraszał na drobne cząsteczki, ale za to orkan szalał straszliwy.

Jedna wszelakoż okoliczność nader pomyślnie sprzyjała marynarzowi i towarzyszom jego. Oto wiatr był południowo-wschodni, skutkiem czego dął im w plecy a nie w twarz. Piasek, którym miotał z całą gwałtownością, a który inaczej byłby nie do zniesienia, uderzał im w plecy i byle się w tył nie odwracali, mogli iść naprzód dość spokojnie i nie zbyt turbowani. Ogółem wziąwszy, szli nawet nieraz szybciej niż sami chcieli, musieli przyspieszać bieg, ażeby nie być przewróconymi, nadzieja jednak, potężna nadzieja zdwajała ich siły i tym razem już nie ślepy traf kierował ich krokami. Nie wątpili wcale, że Nab odszukał swojego pana i że to on przysłał do nich wiernego psa z tą wieścią. Lecz czy żywego znalazł inżyniera, lub czy może tylko przysłał po towarzyszy, ażeby oddać wspólnie ostatnią przysługę zwłokom nieszczęśliwego Smitha.

Minąwszy róg skalistej ściany, od której trzymali się ostrożnie z daleka, Harbert, korespondent i Pencroff wstrzymali się, ażeby zaczerpnąć tchu. Krawędź ściany zasłaniała ich przed wichrem i ciężko oddychali po tym kwandransie drogi odbytej szalonym pędem.

W tej chwili mogli się nawzajem słyszeć i rozmawiać ze sobą, a gdy Harbert wymówił nazwisko Cyrusa Smitha, Top zaczął z lekka poszczekiwać, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że pan jego żywy i zdrów.

— Żyje, Top? — powtarzał Harbert — prawda, Top, że żyje?

A pies szczekał, jak gdyby w odpowiedzi na zapytanie.

Po chwili dalej w drogę. Była wówczas godzina około w pół do trzeciej z północy. Morze zaczęło się podnosić, a przypływ ten na nowiu i przy takim wichrzej był niezwykle tym razem silny i groźny. Olbrzymie bałwany grzmiąc rozbijały się o szereg raf przed wysepką, z taką gwałtownością i siłą, że prawdopobnie przewalały się przez całą wysepkę, której w tej chwili zupełnie nie było widać. Tama ta nie zasłaniała już zatem lądu zamieszkiwanego przez naszych rozbitków a wystawionego teraz wprost na impet rozhukanego morza.

Skoro marynarz i towarzysze jego opuścili krawędź skalnej ściany, wicher uderzył znów na nich z podwójną wściekłością. Zgięci we dwoje, zwracając się tyłem do wiatru, biegli nader szybko za Topem, który ani razu nie zawahał się nad kierunkiem drogi, którą obrać należało. Szli więc na północ, mając po prawej ręce rozhukane morze a po lewej okolicę pogrążoną w mroku nocnym, której charakteru nie podobna było ocenić. Domyślali się jednak, że musiała być względnie dość płaską, orkan bowiem prześwistywał teraz ponad nimi, nie biorąc ich więcej na dwa boki, jak tego doświadczyli, gdy się rozbijał o skałę granitową.

Do godziny czwartej nad ranem przebiegli pięć mil drogi. Chmury podniosły się zwolna do góry i nie wlokły się już jak pierwej po ziemi. Orkan mniej także wilgotny przemieniał się we wiatr ostry, suchy i zimny. Wędrowce nasi niedostatecznie okryci srogie cierpieli zimno, lecz skarga nie wymknęła się z ust żadnego z nich. Postanowili iść w ślad za Topem wszędzie, dokąd rozumne to zwierze ich zawiedzie.

Około godziny piątej poczęło świtać. Najprzód na zenicie nieba, gdzie mniej gęste były wyziewy, zarysowały się krawędzie chmur szaremi smugami i w krótce na czarnem tle nieba jaśniejszy nieco pas odgraniczył wyraźniej widnokrąg morza. Grzbiety fal zamigotały szaremi światełkami i zabielały pianą. Równocześnie z lewego boku wybitniejsze części krajobrazu poczęły zwolna wynurzać się z ciemności, lecz tak jeszcze niewyraźnie, jakby na czarnym tle sinemi malowane barwami.

O godzinie szóstej był już dzień biały. Chmury pędziły z niezwykłą szybkością w dość wysokich stosunkowo sferach. Wędrowców naszych oddzielała w ówczas od „dymników“ przestrzeń sześciomilowa. Szli nadbrzeżem nader płaskiem, wzdłuż którego po prawej ręce wynurzał się z morza szereg skał, których tylko wierzchołki, przy pełnem właśnie morzu, wyglądały z wody. Po lewej stronie okolica pusta, piaszczysta, urozmaicona tylko kilkoma wydmami porosłemi w bodiaki, przedstawiała widok smutny i dziki. Nadbrzeże było dość gładkie i nie przedstawiało od strony morza innej zapory, prócz łańcucha pagórków nieregularnie porozrzucanych. Tu i ówdzie kilka drzew wyciągało swe chude i wykrzywione ramiona na zachód, jak gdyby się nawzajem sobie podrzeźniały. Daleko w tyle, w południowo-zachodniej stronie zaokrąglał się kraniec ostatniego lasu.

W tej chwili Top niedwuznacznemi oznakami począł objawiać jakiś niepokój. Biegł naprzód, to znów powracał do marynarza, jakgdyby zachęcając go do pośpiechu. Zbiegł z brzegu i wiedziony swym dziwnym instynktem nie wahając się chwili, popędził między owe wydmy piaszczyste.

Wędrowce pospieszyli za nim. Kraj ten zdawał się zupełnie pustym, nie widać było w okół żadnej żywej istoty.

Wydmy te otoczone były do koła jakby wałem szerokim utworzonym z pagórków większych i mniejszych, fantastycznie porozrzucanych. Była to jakby mała Szwajcarya z piasku, potrzeba było prawdziwie cudownego instynktu, ażeby się w niej zorjentować.

W pięć minut później, marynarz i towarzysze jego stanęli przed jaskinią wydrążoną na odwrotnej stronie wysokiej wydmy. Przed tym otworem zatrzymał się Top i począł głośno szczekać. Spilett, Harbert i Pencroff weszli do groty.

Tam ujrzeli Naba klęczącego przy ciele złożonem na posłaniu z trawy i mchu...

Było to ciało inżyniera Cyrusa Smitha.

(C. d. n.)

Stara panna.

„Bo mniejsza kogo, byle kochać kogo,
Dla kogo robić — byleby odrobić!“

W sukience ciemnej widzę ją przed sobą;
Smukłą a zgiętą pod tajnym ciężarem,
Owianą ciszy niewymownej czarem,
Lśniącą prostoty wdziękiem i ozdobą;
Widzę ten profil czysty i surowy,
Jakby wewnętrzną przepalony lawą,
I siłę woli bijącą z tej głowy;
Lecz widzę także tę rękę łaskawą,
W której pieszczota razem i podpora,
Oczy patrzące pod rzęsy długiemi,
Jak dwa błękitne, zaklęte jeziora;
Jak letni wieczór — czoło po nad niemi.
A jeśli jeszcze pamięć moja schwyci:
Usta, co jakby piołunu nie znały,
W jedwabiu włosów czarnych — srebrne nici —
Jej obraz stoi przed mą duszą cały.

Przez jakie burze przeszła i boleści,
Nigdym jej nie śmiał pytać ani badać,
Anim mógł ze słów i uczynków treści,
Dzieje minionych lat jej wyspowiadać.
Bo nic nie miała, coby było śladem:
Ani pamiątek zasuszonych szczątka,
Ani tajnego do marzeń zakątka,
Gdzieby wieczorną siadywała porą,
Ani tych westchnień, co obliczem bladem,
Zdradzają duszę na wspomnienia chorą;
Bladości tęsknej, lub ostrych rumieńców,
Znaków wewnętrznej gorączki i waśni,
Ani gorzkiego śmiechu dla młodzieńców,
Ani dla dziewic złowróżących baśni!

Nie były słowa jej, jak astry smutne
Od których wieje bliski śnieg i jesień,
Ni, jak elegje zmarniałych uniesień,
Rozczarowane, drżące i pokutne;
A w prac powszednich znużeniu i męce, —
Nigdym nie widział — aby odwrócona
Twarzą za siebie, — jak Lotowa żona —
Stała, bezczynne załamawszy ręce!

Owszem jej słowa taką trzeźwość miały,
Jakby górskiego powietrza powianie,
A śmiech jej pełny, radośny i śmiały,
Budził w najsłabszych siłę i ufanie;
Umiała krzepić i zbroić do boju, —
I szły bezpiecznie do niej wszystkie dźwięki:
Boleść i miłość, płacze i piosenki,
I odchodziły w stroju i spokoju ...
Niewiasta była dawna — dobrej rady
Wielkiego serca i skutecznej ręki.

Lecz jeśli lekką ktoś potrącił mową,
O jej przeszłości dzieje tajemnicze,
To jej łagodne i jasne oblicze,
Tak uroczystą zalśniło wymową,
Że harde usta wracały z pytaniem,
Jakby w tych blaskach, co jej biły z czoła,
Nagle zapłonął lśniący miecz Anioła,

Strzegący groźnie wrót jakiegoś Raju,
Z jego kwiatami, szczęściem i wygnaniem!...

Więc tylko z oczu głębi tajemniczej, —
I z linij głębszych wśród gładkiego czoła,
I z drgnięć subtelnych, których nikt nie liczy,
A oko ducha tylko ująć zdoła,
Z tego, że ludzką dolą poruszona,
Z ust słowo nieraz rzuciła wymowne
Mądrością życia, — jak perła kosztowne,
Widać zrodzone w boleściach — jak ona,
Z ciemnych wskazówek pozbieranych w tłumie,
Z tego, że była dumna i uboga,
Że tak przebacza wiele i rozumie, —
Poznałem na niej ślady ręki Boga!
Odgadłem w zmarszczkach tych błyskawic znamię,
A w toni oczu dojrzałem nie snadnie,
Ciężki głaz wspomnień pochowany na dnie
I woli nad nim czuwające ramię!
I często myśl ma skrzydłami przypięta,
Do tych wskazówek nici tajemniczej,
Zdzierała tkankę zasłony dziewiczej,
Za którą arka jej wspomnień nietknięta;
I malowała mi ją przed tem wnijściem,
Które dantejski napis krwawo znaczy,
Jak białą brzozę, trzęsającą liściem
W płonącym lesie klęski i rozpaczy;
A potem,—na skier i dymów i kolumnie,
Choć z piorunową rysą aż do rdzeni —
Jak nowym liściem głowy ludzkie cieni
I ranę swoją pod nim chroni dumnie!...

Ale nie taką — cierpiącą i ciemną,
Nie w srogim boju z zagubą i klęską —
Lecz prostą, jasną, cichą i zwycięską,
Staje i zawsze stawała przedemną..

Pod obcym dachem i dla obcych ludzi,
Z któremi węzeł łączy ją daleki,
Od lat już długich troska się i trudzi,
Jak Anioł ciszy, jak Anioł opieki;
Nad ich dostatkiem, u wezgłowia dzieci,
Balsamem na ich boleści i waśni,
Czynem i radą po nad niemi świeci,
Jak dobroczynna owa wróżka z baśni.
Lecz jak wchodzące co dzień rano zorze,
Wreszcie już świata obojętne oku,
Tak i w tych ludziach to zjawisko boże,
Już ni wdzięczności budzi ni uroku.
Przywykli do niej, jak do blasków słońca,
Serce ich dla niej, nałogiem zakrzepło,
Już ani czują, że światło i ciepło,
Rozlewa na nich ta gwiazda milcząca!
I tylko czasem, — gdy wśród nocnej ciszy,
Przy płaczącego dzieciątka kolebce,
Matka głos dobrze znajomy usłyszy,
Który makowe słówka dziecku szepce,
Lub kiedy ojciec smętny myślą zdjęty,
Podniósłszy głowę, nagle wzrok jej spotka
Obojga duszę krzepi ufność słodka,
I uczczą w sercu — czar ten niepojęty!

Tak żyje cicha bohaterka pieśni!..
— Nigdyż w niej żadne burze nie zawichrzą?... —
Któż zgadnie wnętrzne płomienie i dreszcze,
Widma wstające z pod grobowej pleśni,
I walki, które w niej budzą się jeszcze
Z tą samolubstwa potworą najlichszą?!
Snać jednak zawsze ma miłość zwycięstwo,
Bo twarz jej czyni cichszą, coraz cichszą...
Skarby jej duszy nie poszły na marne,
Bo zamiast życie to przeczołgać nisko,
Pracę i Miłość, Wytrwanie i Męztwo,
Kornie rzuciła na obce ognisko,
Więc choć się w głębi burzą fale czarne
Już tej opoki nie zdolne wyżłobić:
Rękom jej lekko i sercu jej błogo!...
Bo mniejsza kogo — byle kochać kogo,
Dla kogo robić — byleby odrobić!

* * *

O jakże często o szarej godzinie,
Gdy orszak szarych myśli mnie otoczy,
Gdy skra zapału w sercu mojem ginie,
Znużenie z duszy wygląda przez oczy;
Gdy wola ręce opuści, rozbita
Tajną ofiarą i niepłatną pracą,
A ciało ducha szyderczo się pyta:
— O robotniku! dla kogo? i za co?!...

Nagle... z wieczora gęstniejących cieni
Jej cicha postać do mnie się wynurza,
I niebo moje dotknięciem rozchmurza,
I zawstydzeniem czoło mi rumieni...

Wł. Ordon.

IDEALISCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział VI.

(Ciąg dalszy.)

Informacje pani Trzecieszczakiewiczowej nie były mylnemi. P. Alfred Zgorzelski od dłuższego już czasu stał się częstym bardzo i mile widzianym gościem u państwa Zameckich. Należał do „klubu,“ zbierającego się co popołudnia na werandzie, pijał piwo, i był nawet ozdobą tego wybranego grona, dzięki swojemu dobremu humorowi i nadzwyczajnej łatwości w obcowaniu. Lata nietylko nie wywarły szkodliwego wpływu na powierzchowność pana Alfreda, ale owszem, wpłynęły na nią bardzo korzystnie. Zmężniał i wypiękniał przytem tak, że o ile to jest możliwem zwykłemu śmiertelnikowi, zbliżał się do ideału „przystojnego“ mężczyzny. Szczególnie jego oczy, piękne i pełne wyrazu, błyszczały otwartością i szczerością, która jednała mu powszechne sympatje. Zwykł on był mawiać o swojej przeszłości, jako burzliwej nieco i nie ze wszystkiem wzorowej, a to z taką swobodą, z taką mięszaniną żalu i humoru, na jaką się zdobyć może tylko ten, co nie wiele nabroił, ale i na to, co zbroił, zapatruje się ze stanowiska człowieka nieprzystępnego już niedorzecznym pokusom pierwszej młodości. Częste wędrówki za granicę, i wielostronne obycie się w świecie, dostarczały mu wątku do rozmów niezbyt wprawdzie głębokich, ale ujmujących wesołością i pewną prostotą, ujmującą serca. Warto było widzieć, jak dr. Chimerski rozjaśniał swoje pochmurne nieraz oblicze na sam widok p. Alfreda, o którym utrzymywał, iż wystarcza do wyleczenia go ze splinu. Zbytecznem byłoby dodawać, że panna Wanda w wyższym nierównie stopniu podzielała zdanie szanownego konsyljarza, z którem zgadzał się po części i p. Tadeusz. Tego ostatniego cieszyło to niepospolicie, że młody jego sąsiad „wyszumiał się“ i z zamiłowaniem dzielił swój czas między książki i gospodarstwo, rzadko kiedy opuszczając Kruchówkę dla wycieczki dalszej niż do Rymiszowa. Ksiądz Chyżycki, mimo pewnej skłonności do lekkiego sarkazmu, zapatrywał się życzliwie na cały świat, i nie robił wyjątku w tej mierze co do p. Alfreda, ale owszem lubił go bardzo. Jedna tylko pani Helena nie podzielała ogólnego zapału, i miała zawsze coś do wyrzucenia p. Alfredowi. Kiedy dr. Chimerski zachwycał się jego świeżą, piękną, męzką postacią, ona robiła uwagę, że p. Alfred sam zanadto jest przeświadczonym o tej swojej zalecie, że zbyt troskliwie i widocznie zajmuje się swoją powierzchownością, i że nie widziała nic śmieszniejszego nad te wszystkie sposoby i sposobiki, za pomocą których stara się ukryć pierwsze, przedwczesne ślady łysiny na swojej głowie. Kiedy p. Tadeusz powtarzał z zadowoleniem, że Zgorzelski ustatkował się, i że objawia więcej rozumu, niżby to można było przypuszczać dawniej, ona oświadczała wprost, że nie wierzy w tę poprawę, i że ptaszek tego rodzaju przy lada sposobności zacznie znowu zgrywać się w karty i robić długi, a co się tyczy jego rozumu, to ten musi być ukrytym bardzo głęboko, bo nie ma nic nieznośniej czczego i płaskiego nad jego rozmowę. P. Tadeusz nie mógł jej wyrządzić większej przykrości, jak kiedy nalegał na to, ażeby Zgorzelski towarzyszył jej w przejażdżkach konnych, które odbywała z polecenia dr. Chimerskiego, a w których Wanda nie mogła brać udziału, bo nie jeździła konno, ale tylko z dorożki podziwiała, jak cudnie Alfred prezentował się na swoim gniadym wierzchowcu, słynnym z bajecznych skoków przez rowy, płoty i bramy, na których widok biedna panienka omal nie mdlała. Wanda była główną przyczyną niechęci pani Heleny ku Zgorzelskiemu, i kiedy raz ks. Chyżycki nadmienił, że Alfred ma bardzo dobre serce, zaprzeczyła temu stanowczo.

— Jeżeliby miał choć odrobinę serca, nie dręczyłby tak ubogiej dziewczyny, w której niby się kocha. Jest to zarozumiały g...., któremu pochlebia to, że wszyscy widzą jej słabość dla niego, i który nie jest zdolnym odpłacić jej się wzajemnością. Codzień powtarzam Tadeuszowi, że nie pojmuję, dla czego zachęcił go do bywania w naszym domu. To wiem, że gdybym była mężczyzną, p. Zgorzelski musiałby mi zdać sprawę ze swojego postępowania, zwłaszcza gdy Wandzia nie ma krewnego, któryby mógł ująć się za nią.

— Gdybyś była mężczyzną — zauważył na to p. Tadeusz — miałabyś niewątpliwie sposób myślenia nader rycerski, ale trochę za porywczy. Zachęciłem Alfreda do bywania w naszym domu, bo widzę, że Wanda ginie z miłości dla niego, a mnie na starość miło widzieć, jak się młodzi kochają. Co się tyczy zamiarów Alfreda, nie zagroziłem mu wprawdzie pistoletem, szablą, szpadą, ani żadną inną palną lub sieczną bronią, w razie gdyby one nie istniały lub nie były właściwemi — ale natomiast rozmówiłem się z nim po przyjacielsku, i jestem zupełnie zadowolonym z wyjaśnień, które od niego otrzymałem. Kruchówka niesie mu w przecięciu trzy tysiące przychodu, a z tego procent i amortyzacja długu bankowego pożerają połowę. Alfred spodziewa się, za kilka lat, przy oszczędnem życiu, uwolnić swój mająteczek od tego ciężaru, a i wówczas jeszcze, nawet z dodatkiem tego, coś przeznaczyła na posag dla Wandzi...

— Ja nic nie przeznaczyłam, bo nic nie mam. Mój kochany, drogi materjalisto, nie wypieraj się twoich bezecnych i samolubnych czynów przed ks. Chyżyckim, który zna skrytości twojego kamiennego serca, jakkolwiek nie może powiedzieć, ażeby był twoim spowiednikiem, bezbożniku, co nie spowiadasz się nigdy. To on — on, dodała, pokazując księdzu swojego męża, wyposażył Wandzię, ja dam jej tylko wyprawę z mojego zbyt wygórowanego budżetu szpilkowego. I, Bogiem a prawdą, to wszystko razem wystarczy im zupełnie, a jeżeli Zgorzelski mimo to zwleka, to z powodu, że nie kocha się w Wandzie, nie kochał, i kochać nie będzie jej ani nikogo w świecie, i tylko czeka, czy nie znajdzie lepszej partji, nim wyłysieje ze szczętem.

— Ależ Heleńciu, bądź wyrozumiałą! Zgorzelski ma bardzo usprawiedliwioną i chwalebną ambicję w tej mierze, pragnąłby otoczyć swoją

żonę pewnym dostatkiem, na którym, według jego wyobrażeń, polega wielka część doczesnej szczęśliwości, i polegać zdaje się w istocie, skoro współobywatele nasi nawet nazajutrz po wejściu do królestwa niebieskiego, każą sobie drukować na kartkach, że umarł N. N. właściciel dóbr ziemskich.

— Dzieje się to zapewne w przypuszczeniu — rzekł ksiądz Chyżycki — że tam, po tamtej stronie ostatniego *Salve Regina*, wymierzoną będzie każdemu taka porcja dóbr niebieskich, jaką posiadał w tabuli ziemskiej.

— Dobrze to panom żartować — odezwała się pani Zamecka z goryczą, a tymczasem biedna Wandzia czeka już ósmy rok na oczyszczenie tej tabuli ziemskiej. Mówisz, że Alfred gospodaruje, że oszczędza. Cha chacha! Radabym, abyś kiedy zaglądnął do Kruchówki; wyobrażam sobie, jak musi wyglądać to gospodarstwo! Oszczędności także muszą pięknie figurować w tabuli! W ten sposób, Wandzia może czekać do sądnego dnia.

— No, no, jakoś to będzie, za parę lat...

— Parę lat! Na miłość Boga, on już teraz bodaj czy się nie blanszuje i nie różuje, a Wandzia... nie powiem, że używa tych sztuczek, ale zawsze, lata płyną...

— Ha, płyną, ale i nam płynęły. Wszak Alfred i Wanda muszą jeszcze zawsze poczekać nieco, nim się pobiorą w tych samych warunkach chronologicznych, co my, a przecież... i p. Tadeusz, zamiast dokończyć zdania, pocałował żonę w piękną, białą rączkę, opartą o poręcz fotelu, na którym siedział.

— Ach, ty, ty, na wszystko umiesz znaleźć odpowiedź! — odparła pani Helena, i pochylając się nad nim, złożyła pocałunek małżeński na jego poczciwem czole, klepiąc go dłonią po policzkach, poczem odeszła odszukać Wandę, dumającą w parku na ławeczce u brzegu sadzawki.

Ksiądz Chyżycki zwierzył się p. Tadeuszowi ze zmartwienia, jakie miał z powodu swojego wychowanka, i opowiedział mu historję jego nieszczęśliwej miłości. P. Tadeusz słuchał go z uwagą, zwłaszcza gdy się dowiedział, że chodziło o pupilkę p. Skryptowicza. Ciekaw był bardzo poznać młodego człowieka, którego jako dorostka widywał dawniej na plebanji, i zaopatrywał w książki z obfitej swojej bibljoteki. A ponieważ rozmowa powyższa przypadła na drugi dzień po przybyciu Wacława do Rymiszowa, więc ksiądz obiecał nazajutrz po objedzie przedstawić swojego pupila p. Tadeuszowi, co też się stało.

Wacław zastał „klub“ zgromadzony na werandzie, i dr. Chimerskiego prelegującego zawzięcie przeciw zwyczajowi picia węgierskiej śliwowicy przy czarnej kawie, któremu to nałogowi oddawał się p. Tadeusz przy pomocy p. Alfreda. Doktor był zwolennikiem francuskiej Chartreuse, a ksiądz wolał kieliszek starego Tokaja, jako reagens przeciw piwu. Doktor wyjaśniał, że śliwowica zawiera, jak wszystkie trunki pestkowe, pewną ilość kwasu pruskiego, niezmiernie szkodliwą zdrowiu, i że p. Tadeusz, którego podejrzywał o jakiś defekt sercowy i o skłonność do apopleksji, powinien szczególnie wystrzegać się tego napoju, a nie pozwalać go sobie czasem po dwa nawet kieliszki. P. Zgorzelski, z miną niewinnego a przyjemnego „łobuza,“ twierdził, że kwas pruski, zażywany w ten sposób, jest bardzo miłą trucizną, od której warto umrzeć. Kobiet nie było na werandzie, gdy ks. Chyżycki wprowadził Wacława, przedstawiając go całemu towarzystwu. P. Tadeusz z wielkiem zajęciem wypytywał się młodego człowieka o jego studja, gdy weszła pani Helena z Wandą. Weranda zacieniona była bujnym dzikim winogradem, przez którego liście tem mniej na nią padało światła, gdy znajdowała się na północno-wschodniej stronie domu. Pani Helena wydawała się zawsze o wiele młodszą, niż była w istocie, a tego dnia ubraną była w białą pikową suknię, która kolorem i krojem swoim odejmowała jej jeszcze najmniej dziesięć lat wieku. Dość, że gdy weszła, Wacław wpatrzył się w nią jak w jakie zjawisko nadprzyrodzone i omal nie zapomniał ukłonić się jak najniezgrabniej, gdy p. Zamecki przemówił:

— Heleńciu, oto jest p. Wacław Roliński, o którym mówiłem ci dzisiaj rano, i o którym zawsze słyszałaś tyle pochwalnych rzeczy od ks. Chyżyckiego!

— Bardzo mi miło poznać pana — rzekła uprzejmie pani Helena, podchodząc ku młodemu człowiekowi, który jej się wydał nieśmiałym i zażenowanym, i podając mu rękę po przyjacielsku. Księdzu proboszczowi należy się „kapituła“ za to, że nam pana dotychczas nie pokazał ani razu!

Proboszcz tłumaczył się, że Wacław przyjeżdżał dawniej zawsze tylko na wakacje do Rymiszowa, a państwo Zameccy w tym czasie bywali zwykle za granicą. Wacław tymczasem, jąkał coś w połowie bardzo powszedniego, a w połowie strasznie niezrozumiałego, i wyglądał, jak gdyby był nieprzytomnym. Jeden tylko p. Zamecki nie zdawał się być zdziwionym tem szczególnem wrażeniem, spowodowanem przez pojawienie się pań na werandzie. Podobieństwo między matką a córką było zawsze uderzającem, a w cieniu i dzięki skromnej, białej sukni, gdy weszła pani Zamecka, Wacław w pierwszej chwili stał się ofiarą naturalnego bardzo złudzenia i był pewnym, że Helenka stoi przed nim. W dodatku jeszcze, nazywała się Helena! P. Zamecki wiedział to wszystko, i w milczeniu, z dobrodusznym uśmiechem, przypatrywał się Wacławowi, podczas gdy ks. Chyżycki, dr. Chimerski i p. Zgorzelski, każdy po swojemu, myśleli w duchu, że oto jest młodzieniec nadzwyczaj mało oswojony z obecnością dam, i nadzwyczaj nieśmiały. To samo myślała niewątpliwie i p. Helena, ale zamiast uśmiechać się złośliwie, jak to czynili panowie, dokładała wszelkich starań, ażeby uprzejmością i swobodą w rozmowie ułatwić młodemu technikowi oswojenie się w obcem mu kole. Nie podobna opisać, jak dr. Chimerski podziwiał ją za to, i jak proboszcz był jej wdzięcznym.

— Wszystko to bardzo piękne, pani dobrodziejko — przemówił nakoniec konsyljarz — ale jeżeli ksiądz proboszcz zasłużył na „kapitułę,“ to pani należy się kazanie z mojej strony. Ileż razy mam powtarzać, ażeby pani nie zaniedbywała swojej przejażdżki konnej? Wczoraj było zbyt gorąco, jutro będzie deszcz padał, i skończy się na tem, na czem zawsze kończy się nieposłuszeństwo. Co miał zarobić doktor, dobry patrjota, osiadły na miejscu i żywiący się uczciwie na ojczystej glebie, to zarobi Karlsbad a doktor nie dostanie ani honorarium, ani honorów, ani piwa, ani *szlema*, ani żadnej rzeczy, która mu się słusznie należy według statutów klubu.

— Jeżeli „klub“ chce się mnie pozbyć, ażeby mógł bez żadnej nad sobą kontroli dawać młodym ludziom zły przykład zalewania się piwem i zgrywania się o drobną monetę, to natychmiast wkładam amazonkę i jadę. Pan pija piwo? — dodała, zwracając się do Wacława.

— Nie, pani.

— *O, infauste adolescens!* — zawołał doktor — nie znasz pan jednej z najwyższych roskoszy w życiu!

— Nie znasz pan jednego z najszkaradniejszych nałogów, poprawiła pani Helena. A czy jeździ pan konno?

— Nie jestem sportsmanem, ale...

— Ale jeździsz pan? To doskonale! Dam panu sposobność wyświadczenia wielkiej przysługi panu Zgorzelskiemu, którego, jak pan widzisz, niepokoi już myśl, że będzie musiał zrzec się nadziei wygrania jednej części papierowego guldena w wiska, a rozegrania się o resztę w maczka, albo w djabełka. Tadeusz ma bardzo lojalne i systematyczne zwierzę w swojej stajni, na którem będziesz mi pan towarzyszył, a panu Zgorzelskiemu damy urlop.

I pomimo błagalnych spojrzeń panny Wandy, pani Helena zadzwoniła, i kazała osiodłać konie p. Zameckiego, poczem wyszła przebrać się w amazonkę. Ale na progu zatrzymała się na chwilę.

— Zapomniałam, że należy wam się wkrótce czarna kawa! Wandziu, moje serce, musisz koniecznie zastąpić mnie i zostać się dzisiaj na gospodarstwie. Ten nieznośny Wincenty potrułby ich tutaj swoim dekoktem! Od czasu jak umarła stara poczciwa Prylińska, w całym domu nie ma komu zrobić kawy. Nie zapomnij Wandziu, dać Tadeuszowi jego ulubioną filiżankę, wiesz, tę wielką srebrną z naszemi cyframi, bez której nie rusza się w drogę!

Oczy Wandzi zaświeciły wyrazem niewymownej wdzięczności, i pobiegła szybko wycałować panią Helenę. Pan Tadeusz zrozumiał ludzki zamiar żony i wciągnął pannę Wandę w rozmowę tak zręcznie i zawzięcie, że musiała zostać na werandzie. Musiała nawet zbierać karty Alfredowi, i podać mu zapalone cygaro, za które podziękował jej z taką szczególną gracją, i z tak anielskim wyrazem w oczach! Nikt nie uwierzy, jak dalece Wandzia była szczęśliwą, i jak mocno pragnęła, ażeby pani Helena w towarzystwie Wacława jechała, jechała, jechała aż na koniec i do końca świata. Tylko czarna kawa wypadła jakoś niefortunnie, i potrzeba było zapić ją śliwowicą, ażeby ją przełknąć — ale nikt z pijących nie zdradził tej tajemnicy i Wandzia była bardzo szczęśliwą.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

RECENZJA

A. Świątochowskiego.

(Ciąg dalszy.)

(*Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart, von Friedrich von Hellwald; Augsburg. 1875.— Najnowsza historja cywilizacji.*)

„Cały nieskończony świat — są jego słowa — składa się z jednej, niestworzonej i niezniszczalnej materji i utrzymuje się przez takież niezniszczalne siły, które wszędzie od pojedynczych atomów do niezmierzonej masy olbrzymich ciał niebieskich działają według tychże samych praw i w wielkości ogólnej sumy swych skutków pozostają niezmienne. Innemi słowy: materja jest nieśmiertelna, wieczna; bez niej jest w ogólności świat niemożliwy do pojęcia; jej nikt nie stworzył i nie zniszczy; składające ją zasadnicze pierwiastki pozostają ciągle w swej liczbie i jakości teżsame i po wsze czasy niezmienne,

*

Jest ona zarówno w przestrzeni jak i w czasie nieograniczona — nieskończona. Co się stosuje do materji, stosuje się także do siły, która również jest wieczną. Z niczego nie może powstać żadna siła — gdyż ta jest przywiązana do materji.... Prawa natury okazują się jako najściślejszy wyraz konieczności. Są to potęgi surowe i nieugięte, które nie znają, ani co to jest czułość ani co moralność.... Są przytem nieodmienne. Nikt dotąd nie zmienił prawa natury. Jest dla tego, że jest. Nadto prawa te są tak powszechne, że działają we wszystkich częściach wszechświata a tak wewnętrznie z sobą złączone, że kto narusza jedno, narusza wszystkie.“ Jak widzimy jest to znane matematyczne credo. Nie wniósł doń autor ani jednego nowego artykułu, w tym więc względzie naukowa jego pozycja jest nabytą. Pomijam jej szczegółową krytykę dla dwu względów: naprzód dla tego, że twierdzenia te już dawno zostały osądzone u swych źródeł, a powtóre, że one się do ścisłego rozbioru nie nadają. Materjaliści bowiem zająwszy wprost przeciwległe teologom stanowisko i rozpocząwszy z nimi wojnę, nie postrzegli, że przejęli od nich zupełnie taktykę. Ta kosmologja, którą znajdujemy we wszystkich prawie materjalistycznych traktatach nie więcej warta od wszystkich innych a zatem i od teologicznej, a jedyną jej różnicą jest odmienność twórczych pierwiastków. Podstawmy w kosmologję materjalistów terminologję religijną a otrzymamy genezę Biblji. Jest to sfera w którą oba kierunki mimo całej swej przeciwstawności i mimo swej wiedzy najbliżej się z sobą schodzą. My ją jako nadpowietrzną wyminąć możemy i zatrzymujemy się przy innym fundamencie „Historji Cywilizacji“ Hellwalda. Z tą samą gotowością i wiarą z jaką przejął tę — że tak powiem — materjalistyczną metafizykę, przejął również teorję pangenezy Darwina, wraz z całym szeregiem złączonych z nią hipotez, tj. z walką o byt, naturalnym doborem itd. W tem to właśnie podłożeniu naturalistycznych wywodów pod zdarzenia historyczne, w tem ujęciu rozwoju cywilizacji jako procesu kierowanego siłami konieczności — leży główna oryginalność pracy Hellwalda. A chociaż zasady takiego systemu tłumaczenia dziejów nie są jego pomysłem, nie możemy mu jednak odmówić zasługi najobszerniejszego ich użycia. Nie byłaby to zasługa skromna, gdybyśmy nie musieli jej jeszcze zredukować zarzutem przeciwko skali umysłowych sił autora. Wziąć hypotezę od nauk przyrodniczych, zastosować ją do rozwoju ludzkości, powiązać tak jej ruchy, ażebyśmy (przynajmniej w głównych ogniwach) widzieli ciągle nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków — byłoby to niewątpliwie wielkie dzieło. Niestety jednak Hellwald na to zdobyć się nie mógł. Wprawdzie często umie pozczepiać fakta znakomicie, ale są to raczej szczęśliwe przypadki niż rezultaty pewnego siebie badania. Jako uczony i jako pisarz zanadto zadawalniał się jednym, na nieszczęście prawie niemym wyrazem—„naturalny“. Ztąd też wszędzie gdzie tylko nie umie wykryć w dziejowem rozwoju ukrytych sprężyn, tam je zastępuje tym sakramentalnym wyrazem, ztąd to wreszcie książka jego da się usymbolizować w następującym porównaniu: Wystawcie sobie że ktoś zamierza wam przedstawić całkowite życie człowieka. Zaczyna więc od tego że człowiek się rodzi, naprzód jest dzieckiem, podrasta, rozwija się umysłowo, ulega pewnym wpływom, działa pod natchnieniem pewnych uczuć, dochodzi do pewnych myśli itd. a wszystko to odbywa się w nim drogą „naturalną.“ Lecz wy niezadowoleni tem objaśnieniem stawiacie rozmaite „dla czego“, dla czego np. ów człowiek jest niepodobny do swoich rodziców, dla czego okazuje skłonność do muzyki, dla czego postępuje wbrew wyznawanym zasadom itp. a na wszystko słyszycie odpowiedź, że „to jest naturalne.“ Zapewne, odpowiedź taka jest lepsza niż głupstwo, ale z drugiej strony nic a nic nie wyraża. Powiedzieć tyle tylko że coś jest „naturalnem,“ jest to nic powiedzieć. Bo jeżeli np. chcę dociec dla czego u ludów dzikich nie matka a ojciec kładzie się do łóżka przy narodzinach dziecka i jeśli mnie ktoś objaśni że to jest naturalnem, to przez to nie przybędzie mi do głowy ani jedno pojęcie. Hellwald więc wybrawszy dość szczęśliwą metodę wykładu dziejów i zrobiwszy przy jej pomocy kilka dość szczęśliwych odkryć, całego rozwoju kultury wytłumaczyć nie umiał.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XVII

Mieliśmy tydzień nader produktywny. Muzykalna część Lwowa zachwycała się kwartetem florentyńskim, a jeżeli słuszna „kronikarzom“ wierzyć, nie obeszło się bez muzyki i w najwyższych sferach towarzystwa, w których snać wznowiono pańszczyznę, ale w formie nierównie łagodniejszej i bardziej odpowiadającej cywilizowanym pojęciom wieku. Dawniej „ataman“ chodził rano po wsi, pukał do okien i wołał:

— Bartek z furą po siano!

Albo:

— Kaśka, z wrzecionem do dwora!

Dziś zmieniły się czasy. Bartek chodzi na „pańskie“ — ze smykiem, a Kaśkę wołają, aby szła śpiewać, nie prząść. Poczciwy ludek chętnie znosi to nowe jarzmo, a demokratycznemu kronikarzowi, który usiłuje obudzić w poddanych tak zwane uczucie godności własnej, wydarzyć się może to, co wydarzyło się niejednemu takiemu apostołowi wolności i braterstwa: ludek obił go, związał, i odstawił do cyrkułu......

Tydzień umieszczał niedawno poezje: „Z za więziennej kraty.“ Wiersze te pełne smętu, a nieraz doskonałe pod względem formy, mają być utworami jednego z takich niewdzięcznie przyjętych apostołów. Był swojego czasu (t. j. przed r. 1848) młody człowiek, nazwiskiem Goslar — jeden z tych szlachetnych marzycieli, jakich wydała era propagandy zasad demokratycznych, która nastąpiła po upadku ruchu narodowego w r. 1831. Przedsięwziął oświecać lud o jego prawach, w obec ludzkości, i o jego obowiązkach w obec ojczyzny. Jednem słowem, był to rodzaj Teofila Wiśniewskiego, na własną rękę, i obdarzony był przytem niepospolitemi zdolnościami pisarskiemi. Niestety, nie miał czasu rozwinąć tych zdolności, i większą część młodego swego wieku przepędził w więzieniu, spisując od czasu do czasu swoje wrażenia wierszem. Przechowane w fascykułach starych aktów sądowych, jako *corpora delicti*, niektóre z tych sonetów i dumek ujrzały po trzydziestu latach światło dzienne w *Tygodniu*. Autor nie żyje już dawno, znalazł koniec przedwczesny i tragiczny. Schwytany podczas stanu oblężenia, jeżeli się nie mylę, w r. 1848 czy 1849, w zachodniej części kraju, gdzie jak zwykle, na własną rękę prowadził propagandę między ludem wiejskim, odstawiony był do Wiednia, i tam stracony. Może tych kilka słów, tutaj umieszczonych, spowoduje kogo z przyjaciół lub znajomych — wszak ich mieć musiał — do dania nam obszerniejszej wiadomości o poecie „z za więziennej kraty.“ Postać to typowa jednej z tych szlachetnych ofiar, jakie w Polsce, w Niemczech i we Włoszech pochłonął ruch umysłów od roku 1830—1848.

* * *

Wszelako, miałem mówić o produkcjach ubiegłego tygodnia. Hr. J. A. Fredro obdarzył scenę nową komedją, którą oddaję na łup recenzentom, bo i w literaturze potrzeba zaprowadzić podział pracy, skoro zaprowadzono go już nawet w rzeźnictwie. Jak wiadomo, mamy rzeźników „męzkich“ i „damskich.“ Tamci biją woły, ci zaś mniejsze tylko, ale czasem nader tłuste i smaczne bydlęta. Jakiś krytyk odkrył w „Wielkiem Bractwie“ hr. Fredry bardzo, jak powiada, „tłuste“ koncepta. *Prosit! Et absit trychinosis!* W dzisiejszych czasach trudno wziąć się do czego tłustego, aby się nie nabawić choroby.

Hr. Fredro dba jednak o zdrowie swoich konsumentów, a ponieważ za młodu wojował w węgierskim kraju, więc wie, iż do tłustych potraw potrzeba dodawać dużo p a p r y k i. Mówią, że nie szczędził jej w „Wielkiem Bractwie.“ Z tego to zapewne powodu, dwie porcje tej potrawy, zjedzone pod noc dzień po dniu, nikomu a nikomu nie zaszkodziły.

* * *

Czemże są jednak produkcje muzykalne i pieprzne krotochwile, w obec sławy, jaką nam tydzień ten przyniósł na szerszem i poważniejszem polu? Proszę posłuchać.

„*Przedświt*“ — nie ten, którego napisał Zygmunt hrabia Korwin-Krasiński, ale ten, którego wychował Jan hrabia Leliwa-Tarnowski, w Chorzelowie, pobił Niemców i Węgrów, Czechów i Cyganów, na torze preszburgskim. Wygrał *Trial-stakes* (t. j. w biegu koni 3letnich) i wziął 2000 zlr. Nie dość, że musieli zapłacić, ale nadto, musieli sobie jeszcze łamać języki, ażeby wymówić nazwisko zwycięzcy, „Przedświt.“ Oby ten Przedświt był przedświtem świtu, po którym zaświta nam nakoniec dzień biały!

Czego w rzemiośle rycerskiem dokazał ten chorzelowski latawiec, tego w rzemiośle uczonem dokonał lwowski historyk, na nieszczęście, bezimienny. W niedzielę rano, wyobraźcie sobie państwo, przychodzę do cukierni Kosteckiego, nie domyślając się niczego, biorę do rąk parę arkuszy świeżo zadrukowanego papieru, i czytam zaraz na pierwszej stronicy, co następuje:

„Patryotyzm.“

„Z nią albo na niej,“ mówiła matka Grachów. „Z nią, albo na niej,“ powtarzały matrony polskie, wyprawiając synów na boje z Tatarami.“

Czytam dalej, czytam do końca, i nie mogę znaleźć wyjaśnienia, coby to była za „ona,“ z którą albo na której owe rozmaite matki pragnęły oglądać swoich Grachów, a *respective*, synów. Chciałem już wracać do domu, i poszukać w Encyklopedji klucza do tej zagadki. Na szczęście, nawinął się pewien profesor, który mi oszczędził tego trudu.

— Widzisz pan, rzekł z uśmiechem, wyrażającym politowanie nad moją ignorancją — dotychczas opowiadali historycy, że u Spartanów było hańbą, postradać tarczę w boju. Gdy poległ taki Spartanin, zwłoki jego składano na tarczy, i przynoszono go na niej do domu. Ztąd, według dotychczasowych historyków, matki spartańskie mawiać miały synom idącym na wojnę: „Wracaj z tarczą, albo na tarczy.“ O Rzymiance, która była matką Grachów, nie wiadomo było nic podobnego, najpierw z powodu, iż u Rzymian nie istniała taka cześć dla tarczy, a powtóre, ponieważ Grachowie nie byli wojownikami bardzo sławnymi, ale byli, jak to mówią u nas, *volksrednerami*. Nie przypuszczano także dotychczas, ażeby w Polsce, w opinji starożytnych naszych matron, lub w opinji ich synów, tarcza była taką świętością. Jako zasłona od ciosów, mniemano, iż mniej była ważną od korda, którym rąbano karki niemieckie, tatarskie i moskiewskie. Teraz dopiero, ten oto uczony odkrył, iż co dawniej opowiadano o Lakedemończykach, tyczy się właściwie *volksrednerów* rzymskich i pancernej jazdy lechickiej.

— Ola Boga! zawołałem, siadając plackiem na ziemi z podziwienia. Jakże się nazywa ten wielki uczony, i jakim sposobem dociekł tak ważnej prawdy dziejowej?

— Jak się nazywa, to sekret — jakim zaś sposobem zrobił to odkrycie, to mój panie, jest właśnie tryumfem idealnej, przyjemniejszej, serdeczniejszej, cieplejszej metody badania, nad metodą pozytywną. Uważaj pan: Pośrednia natura ludzka, na podstawie warunków, jakiemi rządziła się przez tyle wieków, zdążając bezpośrednio na pole faktów, pozytywnie, drogą empirji, stwierdzić się nie dających, do twierdzeń, postawionych a priori, stosując fakta przyrody, gdy weźmie na uwagę zjawiska moralne, objawy duszy, świadome prądy dziejów i t. d., które nigdy w istocie swej wytłumaczonemi pozytywnie, metodą indukcyjną, nie zostaną, stawia gmach błękitnych illuzyj i nito gazą powietrzną, spekulacyą swoją otacza kwestyę duszy. Ztąd już prawdziwie na przechwałkę zakrawa, jeżeli...

— Łaski, łaski, panie profesorze! zawołałem, uciekłem, i spisałem niniejszą „Pogadankę.“

Jan Lam.

TEATR.

(„Wielkie bractwo“, komedja w 5 aktach Jana Aleksandra hr. Fredry.)

Trudno w dzisiejszych czasach o szczęśliwszy do komedji pomysł, jak ten, któremu „Wielkie bractwo“ zawdzięcza swoje zawiązanie. Trzej zazdrośni mężowie podejrzywają trzy uczciwe żony i zawiązują „bractwo“ w tym celu, ażeby się strzedz wzajemnie od „przypadku“, poczem wszyscy trzej wzajemnie bałamucą sobie żony, za poprzedniem jednak porozumieniem tych żon, które podsłuchawszy spisek swoich mężów, dla ukarania i upokorzenia ich, zmawiają się, ażeby ich skusić i przywieść do wzajemnej zdrady (oczywiście tylko w granicach 1go perjodu!), co się im też najzupełniej udaje. Z czego wypływa: że mężczyźni są zazdrośnikami bez podstawy, a zdrajcami przy każdej sposobności — co jest prawdą a tudzież z drugiej strony: że kobiety nie posiadają żadnego pociągu ani do zdradzania swych mężów, ani co więcej do zazdrości — co jest fałszem, któremu zadaje kłam cała historja starożytna, średniowieczna i nowożytna aż do dnia pierwszego przedstawienia niniejszej komedji. Fałsz ten tak tendencyjnie przedstawiony zemścił się najpierw na samym autorze. Pozbawił go bowiem możności dalszego rozwinięcia i przeprowadzenia tak szczęśliwie nawiązanego pomysłu, który wtedy dopiero byłby wyczerpanym, gdyby żony, które zawarły zmowę, ażeby wzajemnie skusić swoich mężów i przywieść do zdrady, poczęły następnie jedna drugiej nie dowierzać, jedna o drugą być zazdrośne, a w końcu z obawy, ażeby żart nie przemienił się w prawdę, wyjawiły całą rzecz swoim mężom, przekonując ich w ten sposób o bezpodstawnoś i ich podejrzeń, równie jak i o niebezpieczeństwie zawierania nadal podobnych zaczepno-odpornych koalicyj a publiczność o tej wielkiej filozoficznej prawdzie: „że ponoś, najlepiej jest tak, jak jest“.... Uwaga ta, którą o sztuce niniejszej z kilku ust słyszałem, wydała mi się zbyt trafną, ażebym nie miał podać jej tu, — jako moją własną.... W każdym razie sam pomysł sztuki jest nader szczęśliwy! Na nim polega oryginalność tej komedji i na nim się kończy.... Słabszą stroną jest wykonanie pomysłu. Autor całą sztukę prowadzi „sytuacjami“, co zdradza pisarza wytrawnego, który wie z doświadczenia, że największą siłę każdej komedji stanowią „sytuacje“, chociażby najmniej oryginalne. To te o oryginalność sytuacyj autor nie wiele się troszczył, ale umiał je zręcznie na każdym kroku wydobywać i każdą wyzyskać z prawdziwą znajomością „techniki“ i „efektów scenicznych“. Ekspozycja sztuki, trwająca całe 2 pierwsze akta, grzeszy niepotrzebną rozwlekłością a co gorsza nie pozostawia żadnej iluzji co do samego rozwiązania intrygi, które widz odrazu odgaduje. Akt piąty odznacza się wielkim rwetesem na scenie, osób dzwoniących, wchodzących, wychodzących, chowających się i podsłuchujących, co wszystko powtarza się po kilka razy i nie przyczynia się bynajmniej do urozmaicenia sytuacji, która w całości przypomina ulubioną grę w „cztery kąty a piec piąty“ tudzież „chowankę“. Wątpić by jednak można, czyli to właśnie ma być owym zachwalanym przez krytyków „ruchem scenicznym“.... Samo rozwiązanie intrygi z owymi „dyplomami“ i z morałem czyni mdłe wrażenie, i budzi posądzenie, że autor tanim kosztem pragnął się wysalwować z zawiłej kolizji. Niepotrzebnie wplątani są w główną intrygę obaj „strohmani“ tej komedji: Traliński i Nolski, którzy nie przyczyniając się w niczem do rozwiązania sztuki, utrudniają ją tylko — zdaje się że nie miał ich autor przez ten czas gdzie podzieć. Najsłabszą ze wszystkich stroną niniejszej komedji są wprowadzone w niej typy — o to dziś jakoś najtrudniej! Prawie zawsze można z góry przepowiedzieć, jakie typy znajdą się w każdej dzisiejszej komedji, stosownie do tego, czy takowa odgrywa się w sferach salonowych, czy tz. szlacheckich, czyli też mieszczańskich. Na wszystko są gotowe szablony!... Od tego zwyczaju nie odstąpił także autor „Wielkiego bractwa“, z tą różnicą, że do kilku szablonów jakimi są: Pącki, Traliński, Piotruś, dodał kilka automatów, jak: Wipskiego, Lulewicza, Genowefę, Honoratę i Zuzannę. Dr. Szmols nie jest typem, lecz stworzoną dowolnie karykaturą. Najoryginalniejszym jest Nolski, którego charakterystyczność polega w tem, ze punktem w którym skupił całą swą istotę, do którego wszystkie myśli, uczucia i wrażenia swoje odnosi jest — trapiący go katar żołądkowy. Jest to postać prawdziwie komiczna dlatego, bo oparta na prawdzie psychologicznej. Komizm jej wyzyskał i podniósł autor kilkoma szczęśliwemi sytuacjami.

Uczucia jednak, jakiemi każe pałać Zuzannie ku Nolskiemu w akcie 2 równie są niepotrzebne jak nieprawdopobne, pomimo że nastręczyły autorowi sposobność do kilka komicznych sytuacyj, któremi z braku innej akcji zapełnił akt 2. Zaletą komedji jest zręcznie, z werwą a często dowcipnie prowadzony djalog, naszpikowany dość gęsto mniej lub więcej niedwuznacznemi dwuznacznikami, które wprawiają w zachwyt parter i galerję. Dzięki swym zaletom scenicznym sztuka ta, podobnie jak inne tego autora, utrzyma się niewątpliwie w repertoarzu, do czego zresztą z wielu względów posiada niezaprzeczone prawo. Przedstawienie wypadło obydwa razy bez zarzutu.

T. R.

Kronika paryska.

VI.

(Dokończenie.)

Paryż d. 1. Kwietnia 1875.

Patrzmy dalej.

W Akwizgranie smutek, wstyd, żałoba. Neothold Emir Walencii, ten sam który pod Roncevaux, Durandal miecz Rolanda zwycięskim był sobie przywłaszczył łupem. Neothold młodzież chrześcijańską szyderczo na pojedyncze wyzywa turnieje, obiecując, jeśli by był zwyciężonym, miecz ów, pobyt którego w ręku niewiernych wieczną dla chrześcijańskiego świata jest hańbą, walecznemu a szczęśliwemu zwrócić przeciwnikowi.

Setki rycerskiej młodzi, zrozumieć łatwo, to zuchwale przyjmują wyzwanie, lecz hardy Maur ze wszystkich potyczek wychodzi tryumfatorem, termin czasu przezeń naznaczony olbrzymim zbliża się krokiem i nadzieja wywalczenia Durandal'a coraz to większem zdaje się być nieprawdopodobieństwem.

Już stary cesarz zrozpaczony, chce sam, osobiście na pole wystąpić spotkania, gdy w tem jawi się Gerald (syn Gandona). Muzułmańską podnosi rękawicę, niezwyciężonego dotąd gromi Emira i odzyskany miecz Rolanda u stóp cesarskiej składa stolicy.

Efekt, osądzicie sami, wielki—i wdzięczny monarcha zwycięzcy jako nagrodę rękę swej wnuczki a pomszczonej Rolanda ofiaruje córy. Niebo młodych kochanków zdaje się uśmiechać parze, gdy czarna postać Ganelon, znów jawi się na scenie.

Demaskując się przed cesarzem: „Związek ten niepodobny!“ grobowym pełnym skruchy woła głosem.

Biedny Gerald raptownie dowiaduje się czyim jest synem i jaka ohydna plama zdrady blask herbowej jego zaćmiewa tarczy.

Naprożno cesarz przez wzgląd na zasługi syna przebacza Ganelonowi, naprożno ojcowskie do Geralda wyciąga dłonie. Naprożno sędziwi towarzysze broni Rolanda, jeden za drugim z braterskim śpieszą ku młodzieńcowi uściskiem i solennie zbrodnię ojcowskiej rozgrzeszają w nim przeszłości. Gerald (zbyt wytężony według nas charakter bohatera) nagrodę odpycha i przebaczenie. „Zdrada ukaraną być winna! Przykład we mnie dla wnuków i prawnuków!“ ze stałem twierdzi postanowieniem i podnosząc do góry wywalczony miecz Rolanda „Nie wpierw“ woła „schowam ten miecz do pochwy, nie wpierw przebaczeń i uścisków waszych godnym się być osądzę, aż ostatnia kropla krwi, ostatniego tam na południu Maura, chrztem lepszej dla ojca mego i dla mnie nie stanie się przyszłości!“

Zasłona spada.

Jak widzicie! pole do aluzji szerokie. Roncevaux, to Metz lub Sedan, Ganelon Bazaine, Durandal Alzacja a Lotaryngja, Gerald nakoniec, to przyszłe pokolenie, pokolenie zemsty i odwetu. Aluzyj więc takowych pełno. Na każdym kroku dramat jakiś patrjotyczne struny poruszającym przysługuje się wam frazesem. Sala pełna widzów drży pod wpływem tych magicznych, tyle razy powtórzonych a nigdy nieoklepanych honor, poświęcenie, miłość ojczyzny, sławiących idej. Ładny, brzmiący wiersz, doskonała gra aktorów, dobijają reszty. Powodzenie olbrzymie, zupełne

A powodzenie we Francji, w Paryżu, to nie puste jak gdzie indziej słowo, to nie ciche kilku tam czy kilkunastu platonicznych wielbicieli uznanie, ale powodzenie we Francji, w Paryżu, to 100.000 dochodu, to krzyż legji honorowej autora zdobiący pętlicę, to nakoniec srebrna fama, nieznane zupełnie wczoraj jeszcze Pana de Bornier nazwisko na cztery strony roznosząca świata.

Praca popłaca — paradoks gdzieindziej, absolutną tutaj czasem staje się prawdą. Nie idzie zatem by nowy utwor istotnem, niepodległem krytyce był arcydziełem. Bynajmniej. Zaczynając od tytułu, który nie wiem dla czego córkę Rolanda a nie syna Ganelona jakby się według treści dramatu należało, na pierwszym stawia planie; zaczynając od tytułu dużo w nim rzeczy, jak: wytknięte już gdzieindziej zbytnie wytężenie charakteru Geralda, jak dziwnie zrozumiana skrucha zdrajcy Ganelona, który upiera się zbrodnię swą na niewinnego przelewać syna, jak w ogóle wreszcie ta wiejąca z całego dramatu idea

odpowiedzialności spadkowej, dziedzicznej, dużo w nim rzeczy jeśli nie na zupełne potępienie to przynajmniej na uzasadnione zasługiwałoby kontestacje.

Lecz ba! Wszak i na słońcu widzi się plamy. W czasach tak powszechnego poetycznego nieurodzaju, trudno być wybrednym i w braku jakichś tam wykwintnych marcypanów i prostym byle zdrowym kęsem chleba kontentować się potrzeba. „Śpiewy Żołnierza“ (Les chants du soldat) pana Pawła Deroulede, utwór mniej pretensjonalny, mniej doniosły, dwa skromne w 16ce tomiki, bardzo dużo ładnych mieszczące rzeczy, na jeszcze większą wyrozumiałość, na jeszcze większe zasługiwałby pobłażanie, gdyby nie gaskonady, gdyby nie marzenia o krwawym odwecie, te wyżej wspomniane indywidualne cechy narodowego charakteru Francuzów, które się w każdej jego zwrotce, w każdym prawie wierszu fałszywą, według nas przynajmniej, odzywają nutą.

Mocny Boże! Co za szlachetne to marzenie przez pana Deroulede odrodzenia narodowego jutro!! Z Prus i z Prusaków nie zostaje w niem nic, gorzej niż nic, bo pamięć sromotna, iż był naród kiedyś w toniach błót i na piaszczystych wylęgły nasypach, iż naród ten nędzny, ubogi, ale wielkim apetytem obdarzony (wielką energją, wielką wytrwałością także) popełnił siła zbrodni, nakradł u sąsiadów sporo ziemi i sporo ludów (historja każdego zdobywcy) aż nakoniec uczuwszy się na siłach, dopełnił miary swych bezeceństw, zabił się ostatecznie w obliczu Boga i w obliczu ludzi (wszystko poprzednie było niczem) targnięciem się na Francję (która jedna, rozumie się, jak za Napoleona I ba i IIIgo ma monopol napadania sąsiadów, zabierania im prowincyj i ogłaszania Amsterdamu, Hamburga, ba i Rzymu,— było tak przecie—francuskich departamentów stolicami) otóż Bóg, sędzia sprawiedliwy, nie mógł dłużej swem ojcowskiem szczędzić go miłosierdziem i za tę ostatnią okropną winę zmiótł go z widowni świata, jak Sodomę i Gomorrę etc. Amen.

A Gaskonady!! Widząc na każdej kartce jak to dla jednego Francuza uśmiercić dziesięciu Prusaków, dwudziestu zabrać w niewolę, istotną było igraszką, czytelnikowi dziwić się tylko przychodzi, jakim sposobem, ci tak łatwo i często uśmiercani Prusacy do bram się dostać mogli Paryża? Dziesięć lub piętnaście musiało ich być miljonów! pod pierwszym ładnych frazesów sądzi się wpływem. Potem przychodzi rozwaga i ta na twarzy, szyderczym odbija się uśmiechem.

Ale dość krytyk. Postarajmy się coś i dobrego o nowo na świat narodzonem powiedzieć dziecięciu.

Forma ładna. Dużo nieraz prawdziwego uczucia, energji, zapału. Czytelnikom, jeśli by się takowi u nas znaleźli, rekomenduję ustępy. „Sierżant“ (le Sergent) „Dobry przytułek“ (Le bon gite) „Turkos“ (Le Turco) itd. jako najbardziej wyżej wymienionemi błyszczące zaletami. 15 zresztą edycyj książki w ciągu niespełna 3ech miesięcy, wymowniej niż co bądźkolwiek, o pewnej wartości świadczy utworu.

Nie wierzcie nigdy w powodzenie ukradzione zupełnie.

„Nie ma dymu bez ognia“ powiada przysłowie.

Rzecz wielkie wywołująca zajęcie, mniej może niż mówią, ale zawsze coś wartą być musi.

Dixi. A teraz czem resztek dopełnimy listu?

Czy wzmianką o gorszących a zjadliwych pana de Villmessant, redaktora „Figaro“ z panem Veuillot, red: ktorem klerykalnego „l'Univers“ zapasach?

Powodem ich jak zawsze kwestja pieniężna. Bronią w nich używaną niecne na przeciwnika przed publicznością donosy.

Broń mię Boże! Niechcę w kryształowe przezroczyste kolumny „Tygodnia“ tych bez nazwy sączyć brudów.

Powalałbym niemi i siebie i tych, co by mię słuchać raczyli.

Na jednej tylko poprzestanę uwadze. Dobrze to, gdy się wilcy między sobą gryzą, owieczkom z tem bezpieczniej.

Śmierć Edgara Quinet, Amedeusza Achard i wielu innych jeszcze literackich lub politycznych znakomitości materjału do długich i szerokich nekrologicznych dostarczyłaby mi artykułów. Lecz ani czasu na nie, ni miejsca.

Skończymy wzmianką o świeżo przybyłej tu trupie lirycznej z Moskwy, która po rossyjsku, przez rossyjskich autorów napisanej opery „Un mariage Russe au XVI siecle“ w sali „Ventadour“ dawać ma przedstawienia.

W przyszłym mym liście z tej tak absolutnej ze wszech względów nowości, przeszlę Wam sprawozdanie.

I żegnajcie.

J. S. Chamiec.

POLEMIKA.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego.—Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nie kończę więc jeszcze na tych dowodach. Zamierzam wyjaśnić stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do odczytów p. dra. A. Małeckiego o tejże literaturze. Nie taję, że ogłoszenie głównego zarysu tych prelekcyj może być niemiłem memu szanownemu profesorowi, a może nawet poniekąd niedyskretnem... W obec milczenia najkompentniejszego sędziego nie mogę wszakże inaczej bronić się od ciężkiego zarzutu, wypowiedzianego tak bezwzględnie w powołanym na czele tej rozprawy numerze „Tygodnia“.

Zebrałem właśnie i uporządkowałem z powodu artykułu, który piszę, zeszkicowane przed laty ołówkiem notatki z prelekcyj p. dra. A. Małeckiego. Jeden niezbyt wielki ich sekstern zaginął mi jeszcze w czasie studjów akademickich, całość jednak z powodu spółcześnie prowadzonego a zachowanego dotąd regestru da się zupełnie i dokładnie zrekonstruować.*)

Po raz pierwszy usłyszałem p. dra. A. Małeckiego dnia 22 października 1862 roku. Zapowiedziane były wtedy odczyty o prozie polskiej XIX wieku. Wykłady profesora rozpoczęły się od skreślenia ogólnych cech literatury naszej i podania podziału jej historji na znane epoki i okresy. Następnie mówił p. Małecki o szkołach i ruchu literackim w różnych ziemiach i miastach polskich jako to: Galicyi, Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Wilnie i Kamieńcu, poczem wracając do właściwego zadania, rozróżnił i rozgraniczył w historji prozy następujące działy: a) powieść, b) historję, c) nauki, d) wymowę i f) filozofię.

Rozdział o powieści i o powieściopisarzach rozpowiedział p. Małecki bardzo dokładnie, zatrzymując się dłużej przy głównych reprezentantach tej grupy. Następnie (dnia 13 lutego 1863 r.) przeszedł do drugiej grupy, tj. do historji i historyków XIX wieku. Na czele postawił Lelewela i mówił o nim szczegółowo. Po Lelewelu, który ma być reprezentantem wszelkich zawodów w historjografji, podzielił p. dr. A. Małecki wszystkich innych pisarzów pracujących na tem polu literatury między siedem grup. Grupy te były: 1) zbieracze, wydawcy i krytycy źródeł; 2) grupa przeciwna pierwszej (tak zanotowałem sobie; a należeć do niej mają: Narbutt, Kraszewski, Moraczewski, Schmitt, Szujski); 3) pisarze opracowujący całość dziejów pod względem wewnętrznym (Maciejowski, Szulc, Jaroszewicz, Krzyżanowski); 4) historycy artystyczno-krytyczni (Szajnocha i Mochnacki); 5) monografiści; 6) dziejopisowie współcześni (Mochnacki, Mierosławski, K. Hofman, Wrotnowski, Skarbek); 7) historycy literatury. Dodać muszę, że prelegent, prócz zestawienia tych grup ograniczył się na samem wyliczeniu pisarzów należących do poszczególnych kategoryj, na przytoczeniu tytułu tego lub owego dzieła, podając tylko rzadko kiedy ogólniejszą charakterystykę jednego lub drugiego pisarza. Pracowników na polu historji literatury p. Małecki wtedy po nazwisku nawet nie wymienił. Wyjąwszy Lelewela, zapełniły lekcje o wszystkich innych historykach naszych niespełna — cztery godziny! Kwestja trzeciego, czwartego i piątego działu prozy (Nauk — Wymowy — Filozofji) nie została nawet poruszoną! Odczyty o prozie polskiej XIX stulecia zakończyły się 18 marca 1863 roku.

Dalszy szereg prelekcyj zaczął się dnia 30 Kwietnia wspomnianego dopiero roku. Przedmiotem ich była historja literatury w pierwszej swej epoce. Uzupełniając rzecz o historykach naszych nowszej epoki, zaznajomił p. Małecki nasamprzód słuchaczów swoich z pracownikami w przedmiocie dziejów literatury polskiej, poczynając od biskupa Załuskiego a kończąc na Bartoszewiczu. Podane daty były co do przedmiotu samego dokładne, mniej dokładne co do pisarzów. Nastąpiło znowu wyłuszczenie podziału historji literatury na epoki i okresy, poczem p. Małecki mówił o Słowianach, Polakach, szlachcie i Lechach, o zaprowadzeniu chrześcijaństwa i królu Mieczysławie, o podziale pierwszej epoki na dwa okresy, o dziejopisarstwie, kaznodziejstwie i wymowie świeckiej, o uczonych tego wieku (tj. pierwszego okresu epoki klasycznej), o statucie Wiślickim i Mazowieckim, o poezji, miastach, żydach, pomnikach piśmiennictwa polskiego, o założeniu Akademji krakowskiej i tych pisarzach, którzy się około tej szkoły grupują. Postawił tu prelegent przedewszystkiem dwie grupy: a) filozofów, b) astronomów. Trzecią grupę utworzył z pisarzów stojących poza akademją krakowską; wspomniał wreszcie o poezji owoczesnej (łacińskiej), o Długoszu i Kallimachu. Odczyty o tej epoce skończyły się dnia 13 lipca 1863 roku.

Dnia 19 października rozpoczął się dalszy szereg wykładów o okresie Złotym literatury polskiej czyli Zygmuntowskim. We wstępie wyjaśnił p. Małecki następujące ogólne kwestje: a) charakter owych czasów; b) rzecz o drukarniach w Polsce; c) dzieje przekształcenia się ortografji polskiej; d) sprawę reformacji w Polsce, e) sprawę tak zwanej klasyczności. Nastąpił rozkład przedmiotu. Co do poezji nie uczynił p. Małecki z początku żadnego podziału, w prozie zaś postawił odrazu takie grupy: 1) pisarzów religijnych; 2) naukowych; 3) politycznych. Przyznał jednak niebawem prelegent, że przynajmniej pod względem języka da się i w poezji uczynić rozdział: na poetów, którzy pisali tylko po łacinie i na takich, którzy pisali po łacinie i po polsku lub też tylko po polsku. Rozdział taki znaleźć można także w znanych historjach literatury, nie stanowi zatem żadnej oryginalności.

Wykłady p. Małeckiego o prozie wieku Złotego były już w ogóle daleko mniej wyczerpujące niż prelekcje jego o poezji. Przyjmując i teraz wymienione wyżej trzy grupy, podzielił nadto jeszcze profesor każdą z tych grup na osobne gromady pisarzów. I tak w grupie pisarzów religijnych odróżnił następujące gromady: a) pisarzów polemicznych; b) tłumaczów Pisma ś.; c) mowców religijnych i kaznodziejów; d) historyków kościoła. W grupie pisarzów politycznych (bo tę teraz na drugiem postawił miejscu) odróżnił p. Małecki: a) grupę historyków; b) grupę mowców świeckich; c) grupę polityków w ścisłem tego słowa znaczeniu. Wreszcie w grupie naukowej wymienił; a) teologów, b) prawników, c) medyków i d) filozofów czyli zwolenników artium liberalium.

Ponieważ zaś niewiele już czasu pozostawało na wykłady (było to bowiem 12 lutego 1864 roku w zimowem półroczu, a prelekcje z przerwami odbywały się cztery razy na tydzień), przeto postanowił p. Małecki pomówić tylko o najważniejszych zdaniem jego postaciach każdej grupy i gromady. Mówił zatem jeszcze obszernie o Orzechowskim, Modrzewskim, Hozyuszu, nawet o Skardze; ale czuł już widocznie, że kończy się półrocze, a należy przecież zaokrąglić przedmiot choćby jako tako! Czuł zapewne także i to, że niepodobna wymienionych pisarzów, zamknąć jedynie w pierwszej gromadzie pierwszej grupy, tj. w gromadzie pisarzów polemicznych. Rzecz o tłómaczach pisma ś. wypadła już bardzo pobieżnie, również o mowcach religijnych i pisarzach grupy naukowej, z pomiędzy których p. Małecki tylko o Brosciuszu i Koperniku mówił nieco obszerniej. O pisarzach politycznych była tylko wzmianka — i prelekcje zakończyły się dnia 11 marca 1864 r.

(D. n.)

---

*) Gotów jestem udzielić tych notat stronom interesowanym do rozpatrzenia.

BIBLIOGRAFJA

Polska.

— Bibljoteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej. Warszawa — 1874.

Wydane dwa tomy za miesiąc Styczeń i Luty zawierają z literatury polskiej: Romans historyczny Aleksandra Bronikowskiego „Hipolit Boratyński“ w pierwotnym przekładzie Jana Kazimierza Ordyńca, przejrzany, i poprawiony przez Kazimierza Kaszewskiego i Wizerunki polskie: Zbiór szkiców literackich przez Aleksandra Tyszyńskiego. Z literatury niemieckiej: Wallenstein Schillera w prawdziwie wzorowym przekładzie.

— Album widoków guberni Grodzieńskiej, Wileńskiej, Mińskiej, Kowieńskiéj, Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, Warszawa — 1875.

Autorem i oraz nakładcą tego zbioru jest Napoleon Orda, blisko siedmdziesięcioletni starzec. Przebiega on z teką rysowniczą rodzinne strony i przenosi na papier zachwycające nas krajobrazy. Dotychczas wyszło już 80 widoków w dwóch serjach. Pierwsza serja zawiera ich 50 a druga 30. Krótki opis dołączony do każdego widoku objaśnia także, czem miejsce ilustrowane stało się głośnem w historji. Spotykamy tu między innemi: Ostróg, Kamieniec, Latyczów, Mereczowczyznę (tu urodzony Kościuszko) Złotą Bramę w Kijowie, Lińce (miejsce urodzenia Goszczyńskiego), Poczajów, Żytomierz, Białocerkiew, mogiłę Perypiatychy itd. „Z Tygodnika ilustrowanego“, zkąd wiadomość o tem album czerpiemy, gdyż w naszym handlu księgarskim jeszcześmy dotąd z niem się nie spotkali, dowiadujemy się, że „szanowny wydawca w dalszych serjach swego album zamierza przedstawić więcej niż dotąd miejscowości z gubernij zachodnich i w tym właśnie celu wybiera się temi dniami w nową wycieczkę artystyczną.“ Litografje na kamieniu odrabia zaszczytnie znany zakład p. M. Fajansa w Warszawie.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Dzieł Józefa Dzierżkowskiego wyszedł tom II. i został rozesłany wszystkim naszym prenumeratorom. Zawiera on trzytomową powieść „Serce kobiece,“ i dwie jednotomowe: „Śliska do przepaści droga“ i „Zemsta pana Bolesława.“ Szczególnie pierwsza z tych powieści jest wielkiej wartości, a że dotąd nie pojawiła się była w osobnej książce, ogół czytelników zatem przyjmie ją bardzo życzliwie. Tom III. wyjdzie w drugiej połowie maja, a IV. w drugiej połowie czerwca rb.

— Dziś w niedzielę odbędzie się w sali ratuszowej koncert pożegnalny pani Friderici Jakowickiej, przy współudziale panny Deryng i p. Ludwika Marka. Nie wątpimy, że publiczność lwowska sympatycznie pożegna artystkę, która tak długo była podporą naszej sceny.

— Dowiadujemy się, że gmina miasta Lwowa dała piękny przykład właścicielom dóbr ziemskich, gdyż dla każdego swego majątku zaprenumerowała dla ludu „Wieniec“ i „Pszczółkę“ razem kilkanaście egzemplarzy. Lwów pomny, że piastuje godność stolicy kraju, a we wszelkich patrjotycznych działaniach krajowi przodujący, złożył tem dowód, że pojął całą wagę oświaty ludowej. Czyżby miasta zawstydzać miały szlachtę polską, która zbliżona więcej do ludu, dawna jego opiekunka, dziś przewodniczką być winna?

— Sceny z „Marji Malczewskiego“ które w zamierzonem przez księgarnię Gebethnera i Wolfa wydaniu tego poematu będą ilustrowane przez Andriollego, są następujące: Z pieśni I.: a) Uczta u wojewody, b) Kozak oddaje miecznikowi list wojewody, c) Pożegnanie Wacława i Marji. Z pieśni II.: d) Kulig, e) Wacław pędzący z hufcem po stepie, f) Bitwa, g) Wacław przy łożu śmiertelnem Marji, h) Śmierć Miecznika.

— Z tłumaczeń romansów historycznych Walterskota ukazał się jeden z najpiękniejszych p. t. „Kwentyn Durward.“

— Na wystawie Sztuk pięknych w Monachium zwraca powszechną uwagę obraz Franciszka Defreggera, przedstawiający chłopaka grającego na cytrze w towarzystwie dwóch dziewcząt. Charakterystyka wszystkich trzech postaci, ma być znakomita.

— Wice król Egiptu przeznaczył dla opery włoskiej w Kairze dwa miljony franków.

— W Londynie zlicytowano niedawno 211 autografów za sumę 12.750 złr. Najwięcej zapłacono za autografy następujące: królowej Elżbiety 820, Marji Tudor 810 i Marji Stuart 650 złr.

— Część obrazu Murilla „St. Antoni,“ którą swego czasu skradziono, została z wielką okazałością pomieszczona na dawnem miejscu w Sewilli. Niezbędne naprawki zostaną w kościele samym dokonane. Ani noga, ani ręce świętego nie są uszkodzone; za to ucierpiały twarz i rękawy, wszelako fachowi twierdzą, że naprawa najzupełniej się powiedzie, tak że wandalizmu nikt potem nie pozna.

— Przedstawienie nowej opery Verdiego „Aida“ w rzymskim teatrze Apollina, miało tak wielkie powodzenie, że za jedną lożę drugiego piętra płacono 500 fr.

— Od lipca do Listopada r. b. będzie otwarta w pałacu przemysłowym w Paryżu wystawa przedmiotów odnoszących się do przemysłu żeglarskiego.

— Dnia 16. bm. panowie Sivel, Croce-Spinelli i Tissandier wznieśli się w Paryżu w balonie „Zenit“ w celu robienia naukowych badań w najwyższych regionach powietrznych. Gdy się znajdowali na 8.000 metrów (24.500 stóp), pierwsi dwaj postradali życie przez uduszenie, gdyż w takiej wysokości brak już w powietrzu kwasorodu. Tissandier, który omdlał, ocknął się po dwóch godzinach, gdy balon zaczął opadać i po nadludzkich wysileniach spuścił się na ziemię. Dwaj jego towarzysze stali się ofiarą nauki.

— Przy końcu lutego rb. miał Dr. v. Nussbaum odczyt w szpitalu powszechnym w Monachjum o „Wielkim wynalazku Lister'a“. Jest to istotnie wielki i praktyczny wynalazek. Lister odkrył, że chorzy ze wszystkich ran i operacyj nadzwyczaj prędko i bez niebezpieczeństwa się leczą, jeżeli każda operacja odbywa się pod delikatnym deszczem kwasu karbolowego, każdy bandaż zmienia się pod takim deszczem. Niszczy on bowiem wszystkie zmięszane z powietrzem szkodliwe cząstki a Lister sądzi, że one to zanieczyszczają i rozdrażniają ranę, nie zaś sam przystęp powietrza. Postępowanie Listera przy opatrywaniu rany jest niezmiernie mozolne i drobnostkowe. Cała przewiązka rany składa się z dziesięciu warstw. Naprzód przykłada się nader delikatny, w Dextrinie przyrządzony płatek jedwabny, podobny całkiem do ludzkiej skóry, na to przychodzi ośm warstw przewiązek przyrządzonych w kwasie karbolowym, smole i parafinie, a wreszcie na to wszystko warstwa nieprzenikliwej materji, zwanej Mackintosh. Wszystko to zaś przykłada się i przywiązuje, pod nieprzerwanym, przeciw-gnilnym deszczem kwasu karbolowego. W szpitalu monachijskim, gdzie ropnica i zgorzelina szpitalna tak się rozgościły, że w ubiegłym roku 80 procent wszystkich rannych i operowanych zapadło na to i w części pomarło, w części zaś długo i ciężko chorowało—pracowano bez ustanku nad usunięciem tych straszliwych chorób. Od kilku miesięcy począł dr. Nusbaum postępować wedle wskazówek Lister'a przy opatrywaniu. Wszystko składało się jak najlepiej i obecnie pokazały się tak piękne i zadziwiające rezultaty tej metody, że Nussbaum podał do magistratu o pozwolenie wprowadzenia stałego, do całego oddziału rannych, tej, co prawda nieco kosztownej manipulacji. Zgodzono się na to z ochotą. Wszystkie rany wyglądają teraz dobrze i leczą się prędko, chorzy są weseli i nie cierpią — a wydane na to pieniądze sześciokrotnie się powrócą, bo przy tak prędkiem wyzdrawianiu czas leczenia, który dotychczas 150—200 dni trwał, ograniczy się teraz na parę tygodni.

Odkrycia i komunikacje.

— Podróżnik angielski, major Montgomeri, odkrył w Azji za Bramaputrą olbrzymie jezioro Tangronor, którego dotychczas nie zwiedził żaden europejczyk.

— Rząd Stanów Zjednoczonych próbuje znowu znaleść wydatny punkt jakiś na międzymorzu Panama, ażeby nakoniec tak upragnione połączenie dwóch wielkich mórz światowych, za pośrednictwem splawnego kanału, urzeczywistnić. Od dawnego bardzo czasu myśl ta stała się ulubioną Stanom Zjednoczonym. Rząd Nikaragwy zwrócił się obecnie do Lessepsa, pragnąc go dla tego planu pozyskać. Tymczasem wysłano ekspedycję której zadaniem jest zbadać czy odpowiednim będzie do przekopu punkt pomiędzy Panamą i Aspinwall. Na czele tej wyprawy stoi kapitan marynarki Lull.

— Przy Russelstreet w Brighton, w miejscu będącem ogniskiem ludności rybackiej, zamieszkującej to portowe miasto angielskie, kończą obecnie kościół osobliwszego rodzaju. Dół tej świątyni znajduje się na 30 stóp pod poziomem ulicy Russel i dostać się do niej można przez jedyne wejście, za pośrednictwem długich kamiennych schodów. Nawa ma długości około 80 stóp — a ołtarz znajduje się na północnym krańcu, naprzeciw schodów. Z zachodniej strony, poczyna się 20 stóp szeroki chór, oddzielony od nawy sześcioma kolumnami z bath'skiego granitu, na jego zaś północnym krańcu mieści się zakrystja z galerją, w której organy ustawione będą. Cały kościół ma kształt 132 stóp długiego a 50 szerokiego równoległoboku. Koszta jego budowy wynosić mają około 8000 funt. szterl.

Zjawiska natury.

— Doniesienia z różnych stron północnej Norwegji mówią, że w nocy 29. marca padał tam śnieg pomięszany z popiołem i piaskiem w takiej obfitości, iż w szklance śniegiem napełnionej po stopieniu śniegu znalazła się łyżka szarego osadu. Fizycznie i chemicznie rozbierano ten pył i okazało się, że popiół składa się z krzemionkanu sody i żelaza, a piasek jest glinką z pumeksem. Zgodzono się na to, ze wulkan Hekla na Islandji wyrzucał ten pył, a wiatr go zaniósł kilkaset mil do Norwegji. Wszakże nie miano przez kwiecień żadnej wiadomości o wybuchu Hekli.

Gospodarstwo i przemysł.

— „Warszawianka,“ czyli żniwiarka wynaleziona przez p. Florjana Grabińskiego z Warszawy i tak przez niego nazwana, znalazła wielkie w Nowym Yorku uznanie, skąd proszono p. G., aby model tej machiny do muzeum tamtejszego przesłał. Model ten ma być umieszczonym w dziale rolniczym wystawy w Filadelfji.

— Pokrycie na nowo lasami gór włoskich, zajmuje obecnie niezmiernie władze tego kraju. Senator hrabia August de Gori, aby zamiarom ministerjum gospodarstwa i handlu przyjść w pomoc pod tym względem, oddał do jego rozporządzenia obszar 400 hektarów (1580 morgów) gruntu, który dla kredowej formacji swej do próby w tym rodzaju się nadaje — i na gruncie tym siew lasów, i szczepienie już rozpoczęto. Użyto do tego szczególniej trzech gatunków drzew iglastych a mianowicie: świerku alepp'skiego, świerku Sila z wyżyn Kalabrji i świerku Lavicio z Korsyki.

— Komisja wysłana niedawno umyślnie w celu zbadania trwałości okrętów wychodzących z warstatów angielskich, stwierdziła, że wiele statków żelaznych wykonanych tam w latach ostatnich nie miało żadnej wartości. Jeden z nich, naprzykład, Chusan, wykonany w warstatach nad Clydą, ledwo wypłynąwszy na morze, tak trzeszczeć począł we wszystkich stawach, że oficerowie załogi znajdującej się na nim, odmówili udziału w dalszej podróży. Inny steamer pękł na dwie części, na innym wreszcie dosyć nieznaczne wzburzenie morza pomost wyrwało. Przeszłego zaś roku cała flotylla maleńkich żelaznych statków potraciła maszty, które się okazały wewnątrz dętemi, wedle nowego systemu, tak gorąco zalecanego.

Wojskowość.

— Według ostatnich obliczeń siły wojenne Niemiec i Francji, przedstawiają się w bieżącym roku w sposób następujący:

	Francja:	Niemcy:
Piechota	850.000	945.000
Konnica	84.000	107.000
Artylerja	88.000	171.000
Pioniery	16.500	41.000
Pociągi	60.000	66.000
Razem	1,098.500	1,330.000

Zwracamy atoli uwagę, że powyższe zestawienie zrobiliśmy na podstawie urzędowych sprawozdań pruskich.

ROZMAITOŚCI.

— Za czasów Ludwika XVI żył we Francji markiz d'Ancher, który nie wyszczególniał się wielkim rozumem, lecz za to przy trzewikach nosił sprzączki brylantowe których wartość wynosiła 80.000 franków. Nie był nawet tak bogatym, jakby z tej ozdoby wnosić można było; przepuścił bowiem większą część swego majątku a resztę umieścił w tych sławnych sprzączkach. Były one zresztą wcale nie złą spekulacją. Bo i któryż właściciel domu, któryż kupiec, rzemieślnik lub lichwiarz nie udzielił z roskoszą kredytu człowiekowi noszącemu na trzewikach 80000 liwrów? Dosyć, że te nieporównane sprzączki otoczyły nic nieznaczącego markiza cudownym nimbusem i wcale dobrze pomagały mu na świecie. Przez kilka lat wszystko szło dobrze, aż nareszcie wmięszało się nieszczęście pod postacią kutego paryskiego filuta. Pewnego wieczora markiz przybył na operę dla wysłuchania jednego z arcydzieł Sachinie'go. Podczas gdy z namaszczeniem przysłuchuje się uwerturze, jakiś elegancki jegomość zasiada obok niego w lòży, napełniającej się co chwila coraz bardziej publicznością; już wtedy bowiem było oznaką dobrego tonu, przynajmniej o kilka minut przyjść do teatru zapóżno i wchodząc narobić jak najwięcej hałasu. Otóż, widząc coraz większą liczbę wchodzących gości, podnosi się nagle ów elegancki jegomość, stawia najprzód jedną, potem drugą nogę na swoim fotelu, zdejmuje z widoczną starannością swoje proste złote sprzączki z trzewików, owija je w papier i chowa w kieszeń. Markiz d'Ancher przygląda się wielkiemi oczyma temu postępowaniu sąsiada, który zauważywszy to, rzecze z uśmiechem „Moje postępowanie widocznie zadziwia pana". — „Przyznać muszę, że się pan nie mylisz"— odrzekł markiz „Gdybyś pan — odpowie na to obcy — musiał tak jak ja poprzestać na prostych złotych sprzączkach, bo ci niedawno w tem samem miejscu inne brylantowe, wartości 600 liwrów skradziono, czyniłbyś po tem gorzkiem doświadczeniu tak samo jak ja" — „Jakto, tu, ukradziono panu?..." — „Tak jest panie, podczas gdy siedziałem, zatopiony cały w tej roskosznej muzyce, podkradli się maleńcy hultaje jacyś pod fotele i ściągnęli mi z cudowną prawie zręcznościa obiedwie brylantowe sprzączki. No, i cóż pan powiesz na to" — „Pan mnie dreszczem przejmujesz" — odmruknął przerażony markiz, — „Pańskie sprzączki kosztowały tylko 6000 liwrów, ja zaś moich nie oddałbym niżej 80000 liwrów. Osądź pan tedy sam, czy mam ochotę je postradać". — „O! to pan jesteś markiz d'Ancher" — zawołał sąsiad z wybornie udanym, pełnym szacunku podziwem. — „Tak jest panie, i dziękując za łaskawe ostrzeżenie, spieszę za pańskim przykładem" — To wyrzekłszy, zdejmuje markiz swoje świetne sprzączki z właściwego miejsca, gdzie, jako wybornie przytwierdzone, zupełnie bezpieczne były, i chowa je do kieszeni. W dziesięć minut potem uprzejmy doradzca oddala się pod wybornym jakimś pozorem. W pięć minut potem Markiz maca się machinalnie po kieszeni, czy sprzączki w niej leżą. Niestety, ani śladu! Wówczas markiz zrywa w rozpaczy z głowy perukę i krzyczy płaczliwie: — „Jestem zrujnowany! Skradziono mi moje djamentowe sprzączki" Na tę wieść wielkie poruszenie robi się w sali opery. Policja pojawia się i rozpoczyna poszukiwania, ale nadaremne. Z utratą sprzączek skończyła się i rola markiza w Paryżu. Przepadł rozgłos, nimbus się rozpłynął. Gorzej,—wszyscy liczni wierzyciele markiza uderzyli nań odrazu. Musiał przed nimi uciekać i ukryć się w jakimś głębokim zakątku królestwa.

— Przed trzydziestu laty tunel pod Tamizą uchodził za najosobliwsze dzieło naszego stulecia, za prawdziwy ósmy cud świata. Od tego jednak czasu dokonano większych jeszcze dziwów, a kto wie czy i te nawet wkrótce zaćmionemi nie będą. Widzimy bowiem co chwila wchodzące w życie nowe i zadziwiające dzieła, szczególniej w dziedzinie komunikacji pomiędzy ludami, która ma im ułatwić ostateczne, a daj Boże, jak najprędsze zbratanie się. Od trzydziestu lat opasaliśmy i osnuli ziemię linjami parowców i elektrycznemi drutami. Cała niezmierna przestrzeń Ameryki północnej, na wskróś pustyń i puszcz od Oceanu Atlantyckiego aż do Wielkiego koleją żelazną została przecięta. Parą i ogniem buchający potwór — lokomotywa przesadza tryumfalnie góry, doliny i rzeki olbrzymie, ba już nawet Alpy i łączy Niemcy i Francję z Włochami. Obecnie pracują z dwóch stron nad przebiciem potężnej ściany St. Gottharda, dla przeprowadzenia przezeń tunelu, stokroć bardziej zadziwiającego niż Mont-Cenis'ki. Udało się także, długo za niemożebne poczytywane, przekopanie międzymorza Suez, tak że dzisiaj parowce w prostej linji pomiędzy Morzem Śródziemnem i Oceanem wielkim krążą, oszczędzając tym sposobem całe miesiące czasu, których niegdyś okrążanie Afryki wymagało. A daleko większym jeszcze dziwem nazywają—i słusznie— przedsięwzięte obecnie przez Francję i Anglję wybudowanie tunelu kolejowego podmorskiego, pomiędzy Calais i Duwrem. Długo jeszcze zapewne o tem dziele pisać i śledzić jego postęp będą, nim dokonanem zostanie; najmniej bowiem dziesięciu lat głęboko podmorskiej, nieprzerwanej roboty potrzeba, nim wybuduje się tych tysiące stóp drogi, wynoszącej na długość przecięciową więcej 6ciu mil. Znawcy twierdzą nawet, że piętnastu do dwudziestu lat zaledwo na dokonanie tego przedsięwzięcia wystarczy i że połknie ono więcej niż 30 milionów fr. Tymczasem gdy tutaj starają się pod wodą wspaniałą linję komunikacyjną stworzyć, w Anglji, znamienity mąż, Książe Bridgewater odwrotnym wcale cudem, tj. olbrzymią drogą wodną podziemną, poszczycić się może. O tym zdumiewającym, z rozgałęzieniami swemi czterdzieści pięć mil długim a ukrytym w głębokości sto stóp pod ziemią kanale, dotychczas dzienniki nasze, najchętniej z powierzchni tylko wszystkiego czerpiące, bardzo mało wrzawy narobiły. A jednak ten niezmierny Styks podziemny, spławia bezcenne skarby z kopalń węgla i innych minerałów pomiędzy Worsley, Bolton itd... i dostawia je do głównych punktów fabrycznych, a budowa tej drogi w zachwyt i osłupienie wprawia. A teraz na zakończenie wspomnimy, chociaż pobieżnie tylko, o dziele, które z planu najwspanialszem na świecie nazwać można. Tak jak ojcem angielsko-francuskiego tunelu kolejowego jest Thomé de Chamond, Francuz, tak znowu ziomek jego, kapitan sztabu jeneralnego Roudaire wspólnie z twórcą kanału Suezkiego Lessepsem, wypracowali plan „zamienienia okropnej pustyni Solnej w Saharze na granicach francnskiej Algerji, w żywe morze, około 900 mil kwadratowych obszaru". W tym celu projektują,—nic więcej,—tylko przekopanie drogi wodnej od Morza Śródziemnego ku tym niżej położonym pustym obszarom solnym i żądają na to tylko dwadzieścia milionów franków! Wprawdzie fale Śródziemnego morza, długo toczyć się będą musiały, zanim zdołają napełnić te spiekłe, straszliwe solne pustynie, ale owocem tego dzieła będzie upłodnienie wszerz i wzdłuż na wieczność całą tych okolic, polepszenie klimatu i nadanie wartości całej prawie nieprzejrzanej przestrzeni Sahary którą obfite pokryją plony. Olbrzymie morze piasku zaludni się, niby czarem, ruchem życia, handlu i przemysłu i stanie cywilizacji otworem!...

— Zasłużony podróżnik Schweinfurth, wydał obecnie (u Brockhausa w Lipsku) nader interesujące opowiadanie o badaniach swoich w Afryce. Pomiędzy innemi opowiada on w dziele tem, o pokoleniu Monbuttu, do którego dotrzeć zdołał. Są to najznamienitsi ludożercy, jakich wystawić sobie można. Udając się na wyprawy wojenne i najezdnicze przeciw sąsiednim ludom, zaopatrują się zawsze starannie w naczynia do gotowania cenionego nadewszystko ludzkiego ciała. Pochwycone dzieci przypadają zwykle, jako najdelikatniejszy kąsek, przy podziale łupu królowi. Dwa razy zastał Schweinfurth tych dzikusów zajmujących się przyprawianiem ludzkiego mięsa. Raz natrafił na pewną ilość młodych kobiet, zebranych przed drzwiami chaty i zajętych oczyszczaniem w gotującej się wodzie jakiegoś ludzkiego ciała z włosów; drugi raz znalazł w chacie świeżą jeszcze łopatkę ludzką, wiszącą nad ogniem i wędzącą się. Od króla tych przyjemnych człeczków doznał Schweinfurth jak najlepszego przyjęcia. Kazano mu zaczekać w królewskiej chacie. Po godzinie zagrzmiały rogi, rozległ się okrzyk ludu i huk bębnów oznajmił zbliżenie się władzcy. Nad drzwiami chaty zawieszone było trofeum z krolewskiej najświetniejszej broni, — miedziane lance i pociski oświecone promieniami południowego równikowego słońca, błyszczały jak płonące pochodnie. Na chwilę powstał wielki zamęt. Na wszystkie strony kręcili się słudzy, mistrzowie uroczystości, nadzorcy porządku itd. itd. Tłumy ludu cisnęły się ku wejściu chaty. Naraz nastała głęboka cisza. Król przybywał! Przodem kroczyli muzykanci,—jedni dmąc w kolosalne rogi wyrobione z całych zębów słonia, — inni, uderzając w niezgrabne, z blachy żelaznej wykute dzwony. Za nimi, z obojętnem spojrzeniem, sporym krokiem posuwał się brunatny Cezar, ciągnąc za sobą rój cały faworytek, w stroju i wzięciu pełnych dzikiego, malowniczego romantyzmu. Nie uznając ich godnemi nawet jednego spojrzenia rzuca się król na niski tron i przyglądać się poczyna swoim nogom. „Ciekawie wpatrzyłem się, powiada Schweinfurth, w fantastyczną postać tego władzcy Kannibalów i w jego dziką, niesforną świtę, pasącą się codzień, ludzkiem ciałem. Król był pokryty cały pierścieniami i łańcuchami oraz innemi ozdobami formy osobliwej. Na szyi, piersiach i biodrach miał wymalowane półksiężyce. Mimo komiczności tego stroju, było w nim jednak coś dziwacznie przerażającego i charakteryzującego doskonale smak i obyczaje Afryki środkowej. Imponujący kapelusz z piórami ocieniał głowę władzcy, wznosząc się nad nią na półtorej stopy, wedle miejscowej mody. Kapelusz ten, miał kształt cylindra i wyrobiony był z delikatnej plecionki trzcinowej. Trzy piętra czerwonych piór papuzich go stroiły, czub z takichże samych piór wieńczył wierzchołek. W uszach Jego królewskiej Mości wisiały ciężkie, grube na palec, kawałki miedzi. Władzca zdał się dochodzić czterdziestki. Niezbyt wysokiego wzrostu, smukły był i silny. Rysy jego twarzy miały coś Nerońskiego w sobie, jakby przesyt i głuche rozdrażnienie. Z kaukazkim typem jego nosa żywe przeciwieństwo stanowiły grube, wydęte murzyńskie wargi. „Schweinfurth za pośrednictwem tłumacza, odpowiedział na kilka zapytań królewskich i następnie doręczył mu przywiezione podarki. Wzbudziły one interes w królu a wielkie podziwienie w 15tu sułtankach jego, siedzących przy nim na ziemi. Strój kobiet Monbuttuńskich, składa się tylko z wielkiego szynjonu (!) i z pomalowania całego ciała w czarne wzory i rysunki, które na tle żółtawem skóry, jaskrawo i dziko odbijają. Zresztą mnóstwo brzękadeł i wieszadeł niepożytecznych na szyi, rękach i nogach. Do tych niepożytecznych rzeczy policzyć także można, maleńki ledwo kilka kwadratowych cali wynoszący kawałek kory figowej, służący im za przepaskę. Po krótkiej rozmowie z Schweinfurthem zarządził król igrzyska, dla zabawy zgromadzenia. Najprzód produkowało się kilku muzykantów na rogach, potem rozmaici kuglarze i śpiewacy, a pomiędzy nimi błazen dworski,—maleńka, okrągła paczka tłuszczu, która pomimo swej otyłości, najweselsze skoki wyprawiała. Następnie król Munza (bo tak się nazywa) począł mowę. Zdawało się, że dobiera słów i usiłuje przemawiać z pewną sztuką. Często zatrzymywał się, poprawiał i można było sądzić, iż robi umyślnie przerwy, dla wywołania tem większego wrażenia. Wówczas dawało się zwykle słyszeć w tłumie: „Ih, ih, tschupi, tschupi ih, Munsa ih!..." i wszystkie gardziele zgromadzonych składały się na prawdziwie piekielne larum. Na te wrzaski, król odpowiadał kilkakrotnie chrapliwem „Brrr! — od którego palmowe słupy podpierające chatę drżały i ptactwo gnieżdżące się pod jej sklepieniem spłoszone ulatywało. Mowa trwała pół godziny, co pozwoliło Schweinfurthowi naszkicować postać mówcy. Przy pożegnaniu król przyobiecał podróżnikowi świnkę gwinejską i szympansa; ale nie dotrzymał słowa. Później dopiero udało się naszemu podróżnemu dostać od Munzy indywiduum z rassy Akka. Był to najdrobniejszy karlik jakiego sobie wystawić można, bo ledwo na stopę wysoki, a miał około lat piętnastu.

Treść Nr. 17.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Koniec tomu 1.